MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 43. WARSZAWA, 2 PAŹDZIERNIKA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

SKORO MOWA O GRANICY WSCHODNIEJ...

Poruszone niedawno w „Myśli Narodowej" dzieje nakreślenia wschodniej granicy Polski wywołały już szereg wspomnień i refleksyj, co wskazuje na to, że jest to jeden z kapitalnych punktów najnowszej naszej historji, do którego powracać nietylko można lecz trzeba dla należytego ugruntowania na przyszłość pewnych poglądów, a nawet pewnych uczuciowych odniesień. Autor artykułów, wyliczając poszczególne strefy kresowe, poczynając od Kamieńca, a kończąc na Kownie, wskazał słusznie na brak ścisłych wiadomości o działaniach politycznych, dotyczących poszczególnych części tego obszaru i postawił żądanie, by ludzie posiadający co do tych spraw wiadomości uprzystępnili je ogółowi. Niestety, należy się obawiać, że na wydatne wzbogacenie naszych materjałów w tym kierunku poczekamy jeszcze długo, choćby dlatego, że wspomnienia te nie przeszły jeszcze w pogodną (o tyle o ile) sferę badań historycznych, lecz mocno są jeszcze zaprawne posmakiem politycznym. A jednak czekać nie można na późne werdykty historji, by rozświetlać i wyrażać zapatrywania, albowiem była to sprawa za wielka i zbyt dla Polski żywotna, by mogła kiedykolwiek zupełnie stracić swą aktualność, choćby psychologiczną. I zdaje się także, że w zasadniczych swych zarysach przebieg zdarzeń nie jest tu do tego stopnia tajemniczy, jak na podstawie niektórych, użytych w dotychczasowej dyskusji wyrażeń mogłoby się poniekąd wydawać.

W tej pierwszej wielkiej sprawie, jaką Polska, zaraz po swem odbudowaniu mogła i musiała załatwić, samodzielne poglądy i programy nie były jednolite i zgodne, lecz do tego stopnia rozbieżne, iż niemal dziwić się przychodzi, że sprawa granicy wschodniej nie wypadła dla Polski jeszcze gorzej. — Komitet Narodowy w Paryżu nie miał sobie nic do wyrzucenia, bo już pod koniec 1918 r' powiedział jasno, czego się Polska dla siebie domagać będzie nietylko na Zachodzie ale i na Wschodzie... Program ten mógł podlegać dyskusji w szczegółach, mógł podlegać i podległ rzeczywiście pewnej rewizji w sensie rozszerzającym w styczniu, ieżeli się nie mylimy, 1919 r., ale miał olbrzymią zaletę absolutnej jasności i niedwuznaczności i był doskonałą podstawą nietylko do zabiegów na terenie kongresu pokojowego, lecz także do wykucia w niewyrobionej jeszcze opinji samego kraju wyraźnego poglądu na to, jak przyszła Polska geograficznie ma wyglądać. Owa „linja Komitetu Narodowego" odpowiadała wprawdzie w ogólnych zarysach obecnej granicy z Rosją, lecz zawierała w stosunku do niej cały szereg warjantów, niezmiernie cennych zarówno materjalnie jak moralnie, żeby tylko wspomnieć za autorem artykułu o granicy wschodniej: Kamieniec, Płoskirów, Bobrujsk, Mińsk. Że nie brakło też objawów dobrej woli względem zagadnień wschodu w samem centrum Polski, tego dowodem był pamiętny wiec w Filharmonji warszawskiej, na którym przedstawiciele stronnictw politycznych, ze ś. p. ks. Kazimierzem Lutosławskim na czele, proklamowali konieczność rozegrania „wojny o Kresy".

Zajęcie Grodna i Brześcia, marsz na Wołkowysk, opanowanie Lidy, wreszcie zdobycie w kwietniu 1919 r. Wilna zdawało się być koniecznym a szczęśliwym wstępem do wykonania tego najnaturalniejszego programu polskiego na wschodzie. Dopiero proklamacja wileńska Naczelnego Wodza, skierowana do „mieszkańców W. X. Litewskiego" była jakby przestrzegawczym objawem, wskazującym na to, że niema w Polsce jednolitych zamiarów odnośnie do wschodu i że w szczególności Naczelne Dowództwo nurtowane jest projektami, odbiegającemi od prostej i zrozumiałej dla wszystkich linji postępowania. Mimo to cała dalsza kampanja 1919 r., która tak znakomicie posunęła szeregi polskie na wschód, prowadzona była, tak jak prowadzona jedynie być mogła t. j. polskiemi siłami, wedle polskich wytycznych i z oparciem jedynie o polskie skupienia, żaden bowiem „miejscowy", „ukraiński", czy „białoruski" żywioł z realną pomocą ani współpracą na widnokręgu się nie pojawił. Jedynie tylko wprowadzanie na tyłach wojska administracji cy-

wilnej, nie polskiej poprostu, lecz „ziem wschodnich“ zaznaczało niejako niepewność co do przyszłości tych ziem, niepewność, którą każdy wówczas po swojemu tłumaczył.

Jednakże w kwietniu 1920 r., w przeddzień ofensywy na Kijów, zamiary Naczelnika Państwa i kół jemu bliskich ujawniły się znowu przez słynny układ z atamanem Petlerą, gdzie akcję Polską przedstawiono jako interwencję tylko, mającą na celu oswobodzenie i państwowe zorganizowanie Ukrainy. Był to więc program federalistyczny w całej rozciągłości, o którym poprzedniu nieśmiało tylko napomykano, a który tutaj wreszcie się wcielił, a przynajmniej pokusił się o wcielenie. Nie potrzeba dziś długich wywodów na wykazanie, jak bardzo okazał się nierealny, jak prędko potwierdził przestrogi tych, którzy w zamiarach odrywania od Rosji wielkich obszarów dla budowania z nich państw „buforowych“ czy „granicznych“, wedle niemieckiej recepty, — widzieli pokuszenia bezpłodne, a dla Polski wręcz samobójcze. W istocie, porywu narodowego przeciw Rosji nigdzie na Ukrainie nie było, wojska polskie skazane były wyłącznie na własne siły, a pracowicie organizowane oddziały ukraińskie, które starano się zgalwanizować jeszcze w czasie zawieszenia broni, oddając w ich ręce najpiękniejsze powiaty podolskie i wołyńskie, w ciągu dni kilku sromotnie były zlikwidowane.

Otóż ten klasyczny przykład posiada rozstrzygającą wagę i pozwala uznać za pewnik bez narażenia się na pomyłkę, że bodaj wszystko to, co jest niejasne w naszej polityce wschodniej w pierwszych latach niepodległości od 1918—1922 roku, wszystkie nasze zaniedbania, zarówno jak lekkomyślne przedsięwzięcia tłumaczą się integralnie nie czem innem, jak tylko nurtowaniem umysłów ludzi stojących na czele egzekutywy przez politykę federacyjną, która zamiast budować Polskę i zachować dla niej to, co słusznie jej się należało, pragnęła polskiemi słabemi siłami reorganizować cały wschód Europy i odepchnąć Rosję od Morza Czarnego.

To też z autorem wspomnianego artykułu możemy ubolewać nad brakiem materjałów, możemy życzyć sobie dokładniejszego poznania przebiegu wielu zdarzeń, lecz nie sądzimy, by należało ogłaszać zasadniczo za niewyjaśnione i ciemne zarówno poruszone przez niego sprawy, jak i niektóre inne jeszcze. Czy wspomnimy miękkość i niezdecydowanie w sprawie Lwowa, czy niejasne stanowisko wobec możliwości pokoju w Borysowie, czy zuchwałą wyprawę na Kijów, czy dziwacznie pomyślaną imprezę gen. Żeligowskiego na Wilno, wstrzymaną, gdy w logicznym rozwoju stać się miała marszem na Kowno, — wszystkie te epizody nie wymagają dla swego wytłumaczenia zawiłych rozumowań, ani przypuszczenia tajemniczych intryg, skoro wszystkie dają się sprowadzić do tego samego mianownika, którym było szukanie za wszelką cenę sprzymierzeńców przeciw Rosji i podstaw do jej rozbijania. Długi ten szereg powtarzających się perjodycznie poczynań, dla ogółu polskiego wręcz niezrozumiałych, epilogu swego doczekał się dopiero przez wcielenie Wileńszczyzny w początkach 1922 r., dokonane, jak wiadomo, wbrew ogromnym trudnościom, które miały źródło swoje w Warszawie. Było ono w istocie doniosłem i pamiętnem zwycięstwem żywiołów narodowych, które, już wówczas konsekwentnie odpychane od władzy, zdołały przecież najwyższym wysiłkiem nadać Polsce odrodzonej tę organiczną jednolitość, która od początku odpowiadała ich przekonaniom i warunkom rzeczywistości.

Polityka odwrotna, t. j. federacyjna, przejawiająca się od czasu do czasu w sposób jaskrawy, nietylko że nie udała się, t. zn. że okazała się nierealna, lecz była nawet niezdolna do wypowiedzenia się w jasno sformułowanym programie. Prowadziła bowiem geograficznie w bezkres, groziła w wykonaniu zagmatwaniem i chaosem, politycznie odwracała się przeciw Polsce zagrożeniem niebezpieczeństwem dla jej ziemi aż po San i Bug. Odznaczała się ta polityka niezrozumieniem i tego dalszego pewnika, że na obszarach, objętych planem federacyjnym t. j. przyznanych formacjom państwowym ukraińskim, czy litewsko-białoruskim żywioł polski skazany byłby na zniszczenie a przynajmniej śmiertelnie zagrożony. Przedstawiając tam przeważnie klasy „posiadające“, mieniem swojem płaciłby za konsolidację owych państwowych nowotworów, a po linji najmniejszego oporu stałby się pierwszą ofiarą budzących się lub sztucznie rozdmuchiwanych nacjonalizmów. Rozwój stosunków zarówno na Kowieńszczyźnie jak na zaprzyjaźnionej przecież z Polską Łotwie wymownie od tego czasu potwierdził pesymistycznie w tym kierunku przewidywania.

Było wobec tego okolicznością nie pozbawioną tragizmu, że polskie społeczeństwo kresowe, zamiast zdecydowanie poprzeć jasno wykreśloną linję postępowania, rokującą mu najwyższą sumę możliwych korzyści, i skupić wszystkie swe siły i wpływy na realnem ich osiągnięciu, — w ogromnej swej części uległo bezpłodnej fascynacji federalistycznych rojeń. Prawda, że za niemi stała pociągająca siła władzy wykonawczej, prawda, że były one zbieżne, na pozór przynajmniej, z tendencjami maksymalistycznemi, nieuniknionemi, bo popartemi tradycyjnym, najczcigodniejszym dogmatem, że integralną częścią Polski jest każdy kawałek ziemi, znajdujący się w polskich rękach. Przekonywającej wymowy nadawała im i ta okoliczność, że w danych warunkach zachodziła najboleśniejsza alternatywa pomiędzy ostateczną, fizyczną zagładą, a uniknięciem jej w jakikolwiek sposób i pod jakimkolwiek pozorem.

Ale dodać trzeba jedno jeszcze ze szczerością zupełną. Zabory nie pozostały bez śladów, a prawdziwie „wszechpolskie“ poglądy tak już było rzadkie, że skuteczne porozumienie pomiędzy kresowcami a przedstawicielami innych dzielnic napotykało na duże trudności, żywa tradycja prawdziwej współprzynależności wszystkich ziem polskich była przygasła.

I tutaj wywody wstępne artykułu: „Jak to było z granicą wschodnią?“ wymagały co najmniej uzupełnienia[1]). Jeżeli się mamy zastanawiać nad tem, ile złego zrobił w owych czasach partykularyzm kresowy, to nie możemy milczeniem pominąć odwrotnego pytania, ile dobrego udaremniły tak bardzo często w rdzennej Polsce: nieznajomość ziem kresowych, zacieśnienie horyzontów, a nawet samolubstwo prowincjonalne. Ten sam pęd patrjotyczny, który poprzez wszystkie pogmatwania i klęski wprowadził Wileńszczyznę w skład Rzeczypospolitej, ożywiał wówczas Polaków aż do najdal-

---

[1]) Uczynił to częściowo sam autor, w artykule p. t „O koniecznościach dziejowych“ zamieszczonym w nr. 41 „Myśli Narodowej“.

szych rubieży. Jeżeli nie mógł być w pełni zaspokojony, jeżeli był zgóry skazany na najcięższą ofiarę wyrzeczenia się, to wymagał zrozumienia i najgłębszego szacunku. Tymczasem kresowcy, słusznie dumni z nieporównanych annałów swej patrjotycznej martyrologji, spotykali się zbyt często z objawami obojętności albo nawet ironji, jakby byli zespołem kolonjalnych Nababów, myślących tylko o ratowaniu swoich plantacyj.

Te wszystkie okoliczności uwzględnić trzeba, by należycie zrozumieć, nie przestając nad nim ubolewać, ten fakt, że kresy polskie, opromieniając się na nowo wspomnieniem wielu czynów ofiarnych i bohaterskich, nie zdobyły się wonczas na świadomą, określoną i skuteczną akcję polityczną.

Co można, a co nie można było osiągnąć jeszcze w czasie pertraktacyj ryskich, to jest bodaj pytaniem raczej drażniącem, aniżeli istotnem. Że Polska nie mogła po Rydze uzyskać „wszystkiego, czegoby pragnęła“, to jest twierdzenie tak zgodne ze zdrowym rozsądkiem i z doświadczeniem, że bodaj nie wymaga poparcia szczegółowemi dowodami. Istotniejszą już byłaby kwestja, czy końcowe epizody kampanji 1920 r. nie mogły być lepiej rozegrane i lepiej przygotować gruntu dla nadchodzących pertraktacyj, czy nie można było środkami wojskowemi korzystniej ukształtować stanowiska Polski, jeżeli nie wobec Rosji to wobec Litwy. Znane są poglądy na ten temat ś. p. gen. Rozwadowskiego. Być może, że zwodnicza nadzieja uzyskania od Rosji sum pieniężnych, z tytułu udziału w skarbie cesarstwa, wpłynęła niekorzystnie na taktykę polskich przedstawicieli w tym czy owym momencie. Naogół jednak wydaje się jasnem, że po dwuletniej, ze zmiennem szczęściem prowadzonej wojnie pokój w Rydze stanął wedle pewnych praw równowagi, których działanie wcale dokładnie obliczyli byli autorzy „linji Komitetu Narodowego“. Zabrakło jednak po stronie polskiej tego naddatku korzyści, który jasna świadomość celów i konsekwentne od początku do końca dążenie do nich było mogło niewątpliwie jej zapewnić. To, co Polska otrzymała, było w rezultacie raczej bliskie *minimum*, niżeli *maximum* jej niewątpliwych potrzeb i usprawiedliwionych dążeń.

Czy zatem mamy dążyć do rewizji traktatu w Rydze? Oczywiście: nie. Nietylko dlatego, że groźny napór niemiecki na nasze najrdzenniejsze siedziby na Zachodzie w tej chwili na to nie pozwala, lecz dlatego, że żywotna potrzeba zachowania pokoju z Rosją znacznie przewyższa wartość tych nabytków, o które roztropność pozwalałaby nam się kusić w kierunku wschodnim. Ale z drugiej strony odbieganie od rzetelnej prawdy także do niczego nie prowadzi, więc też nie mamy powodu wiecznie wspominać pokój ryski w nastroju urzędowej radości. Przeciwnie, wydaje się być dobrą polityką, zarówno wobec samej Rosji jak i wobec świata, wyraźne i poważne utrwalanie w pamięci tej okoliczności, że dla ugruntowania na przyszłość pokojowych z nią stosunków Polska wyrzekła się ogromnej części swego dawnego terytorjum państwowego, skreśliła swe pretensje do wielkich obszarów, stanowiących od kilku wieków jej tereny kolonizacyjne i zawierających liczne i cenne ślady tej polskiej kolonizacji.

Tembardziej nie możnaby uznać za dopuszczalne, za zgodne z pogłębioną świadomością narodową, wmawiane w siebie, że ponieważ chcemy i zdecydowanie chcemy żyć w pokoju z Rosją, powinniśmy raz na zawsze oczy i uszy odwrócić od spraw wschodu, ślepo wierząc, że z tej strony żadne możliwości, żadne zadania, żadne zagadnienia przed Polską już nigdy się nie otworzą. Tak dogmatyczne stawianie rzeczy byłoby niemal szkodliwsze od choroby, na którąby miało być lekarstwem, pozostawałoby poza historją i poza rzeczywistością. Jak wszelki twór organiczny, każdy naród żyje normalnie tylko wówczas, gdy żyje wszechstronnie. To wszechstronne życie jego trzeba umieć krzewić i podtrzymywać. W danym wypadku odnosi się to w pierwszej linji do tego wschodu, o który dbać i troszczyć się nie bronią nam żadne względy t. j. do ziem kresowych, objętych granicami Polski. Jeżeli pytanie o nasz byt lub niebyt waży się na naszej zachodniej granicy, to nie powód to, by zapominać, że gdyby wzrok Polaków nigdy nie był pobiegł z równin mazowieckich za Bug i dalej na wschodnie obszary, Polska — Polską by nie była, — nie miałaby ani „Dziadów“, ani „Beniowskiego“ ani „Ogniem i Mieczem“.

ADAM ŻÓŁTOWSKI

CZYNNIK DEMOGRAFICZNY W KWESTJI ŻYDOWSKIEJ

BARDZO ważnym czynnikiem w sprawie żydowskiej, czynnikiem naogół niedocenianym jest czynnik demograficzny[1]). W nim bowiem należy szukać wytłumaczenia szeregu zjawisk, których sobie nie możemy wytłumaczyć, lub które tłumaczymy fałszywie. By jednak zrozumieć jego istotę w chwili obecnej, należy cofnąć się wstecz i choćby w paru słowach zastanowić się nad jego rolą w przeszłości.

W starożytności żydzi odznaczali się dużym przyrostem naturalnym, co jedynie mogło pozwolić małej Palestynie na wysyłanie we wszystkie strony imperjum rzymskiego fal emigrantów. Według Arthura Ruppina, ilość żydów w pierwszym wieku po Narodzeniu Chrystusa wynosiła $4^1/_2$ miljona, a więc mniej więcej $^1/_{12}$ ludności Cesarstwa Rzymskiego. Natomiast w średniowieczu, naskutek prześladowań żydów, a jeszcze bardziej naskutek powszechnej wówczas dużej śmiertelności (w większej jeszcze mierze u żydów, ze względu na to, że byli oni mieszkańcami miast, a z drugiej strony jako mieszkańcy południa byli nieprzyzwyczajeni do klimatu europejskiego) — ilość żydów uległa znacznemu zmniejszeniu, tak że na rok 1500 przypuszczalnie ilość ta wynosiła zaledwie $1^1/_2$ miljona.

Od połowy XVIII w. rozpoczyna się stały wzrost ilości żydów, a od początku XIX wieku wzrost ten staje się niezwykle szybki. Tak więc, w r. 1800 ilość żydów wynosiła tylko 2 miljony, w r. 1840 — $4^1/_2$ miljona, w r. 1860 — 6 miljonów, w r. 1900 — $10^1/_2$ miljona, a w r. 1930 prawie 16 miljonów.

[1]) Dane statystyczne, powoływane w artykule, pochodzą z książki Arthura Ruppina *„Die Sociologie der Juden“*.

Wzrost ilości żydów w tym okresie był znacznie większy, niż wzrost innych narodów. Ilość bowiem żydów w okresie od 1800 do 1920 r. wzrosła 6,4 razy, gdy ilość mieszkańców Anglji wzrosła tylko 4,3 razy, Norwegji 3 razy, Szwecji 2½ razy, Francji zaś tylko się podwoiła. Tak szybki wzrost żydów tłumaczy się znacznym spadkiem śmiertelności, przy bardzo nieznacznym jedynie spadku ilości urodzeń. Śmiertelność bowiem żydów spadła z 30 na 15 na 1000 osób, gdy ilość urodzeń z 40 do 33 do 1000 osób. Przyrost naturalny wynosił więc:

W latach	1800 — 1900	15‰
„ „	1901 — 1905	18‰
„ „	1906 — 1910	17‰
„ „	1911 — 1914	16‰

Spadek śmiertelności tłumaczy się częściowo tem, że w okresie powyższym nastąpił spadek śmiertelności w miastach naskutek poprawienia się warunków zdrowotnych, a więc musiał on nastąpić również wśród żydów, którzy przecież w ogromnej większości są mieszkańcami miast. Najważniejsza przyczyna tkwi jednak w niesłychanie szybkiem wzbogaceniu się żydów, co pozwoliło im na prowadzenie życia w warunkach o wiele bardziej hygjenicznych, niż dawniej, i zaspokajanie potrzeb fizycznych w sposób dostateczniejszy, niż mogła to czynić otaczająca ich ludność miejska chrześcijańska. Najlepszym tego dowodem jest mniejsza śmiertelność wśród żydowskiej ludności miejskiej, niż wśród takiejże chrześcijańskiej ludności, jak wskazuje to poniższa tabelka:

	Śmiertelność w ‰ u chrześcijan	‰ u żydów
Berlin	17,1	13,4
Hamburg 1910 r. . .	14,7	11,4
Wrocław 1905/06 . .	18,2	14,0
Wiedeń 1900 . . .	21,2	12,5

Obok wielkiego wzrostu ilości żydów, XIX wiek przyniósł również wielkie wędrówki żydów po świecie. Na początku wieku XIX największe skupienie żydów istniało na ziemiach polskich. Jeszcze w r. 1840 na 4½ miljony żydów mieszkało na terytorjum przedrozbiorowem Polski, 2,1 miljona żydów, — w roku zaś 1930 zamieszkuje na tem samem terytorjum 5 milj. na ogólną ilość 16 miljonów.

Przyczyną tego jest przedewszystkiem wielka emigracja do Stanów Zjednoczonych, która doprowadziła tam do stworzenia najsilniejszego w świecie ośrodka żydowskiego. Tymczasem jeszcze w r. 1800 ilość żydów wynosiła tam 2 tys. a w r. 1848 tylko 50 tys. Dopiero od tego roku rozpoczyna się wydatniejsza imigracja żydowska do Stanów Zjednoczonych, początkowo tylko z Niemiec, potem również z Polski i Węgier, wreszcie z Rosji. Ogólna ilość imigrantów żydowskich w latach 1881 — 1914 przekroczyła niechybnie 2 miljony. Imigracja ta osiągnęła swoje *maximum* w r. 1906, w wysokości 153748 osób. Wynikiem tych wędrówek było skupienie się w Stanach Zjednoczonych 4350000 żydów (1930 r.).

Drugim kierunkiem wędrówek żydowskich w XIX wieku jest wędrówka żydów w Europie ze wschodu na zachód. Charakterystycznym jej wyrazem jest zwiększenie się liści żydów w Belgji (1900 r. — 12000, 1930 r. — 60000), w Anglji (1858 r.—27000, 1900 r.—110000) we Francji (1900 r.— 120000, 1930 r.—200000), emigracja żydów z Wielkopolski i Pomorza do Niemiec, najazd t.zw. „litwaków“ na Królestwo kongresowe.

Wojna przynosi tu zasadniczą zmianę, przedewszystkiem zmiejsza się tak doniedawna szybki przyrost naturalny żydów. W krajach zachodnio-europejskich przyrost naturalny żydów ustał już zupełnie. Typowem przykładem są tu Prusy: W latach 1906/10 przyrost naturalny wynosi 3,1‰, w r. 1927 nadwyżka zgonów nad urodzeniami wynosi 3‰. Ale również w Europie wschodniej przyrost naturalny żydów zmiejszył się znacznie, np. w Warszawie przyrost naturalny żydów wynosił w latach 1890 — 1894 — 24·0‰, w latach 1910 — 14 — 6·4‰ w r. 1927 tylko 4·8‰, ogólny przyrost naturalny wśród żydów wynosił w latach 1925 — 29 tylko 9‰ wobec 16‰ w latach 1911—14. Zmniejszenie się przyrostu naturalnego pochodzi ze spadku ilości urodzeń (30‰ w latach 1911 — 14 do 21‰ w latach 1925 — 1929). Jeszcze drastyczniej występuje to zjawisko, jeśli porównać cyfry spadku urodzeń wśród żydów poszczególnych krajów. Tak więc w Prusach ilość urodzeń w latach 1822—40 wynosiła 35·5‰, w r. 1914 — 14·3‰,a w r. 1927 tylko 11·1‰, w Rumunji w latach 1878 — 1882 — 46·5‰, w r. 1910 — 29·3‰, a w r. 1927 tylko 17·2‰, w Polsce w latach 1906 — 08 — 35 5‰, w r. 1928 — 20·8‰.

Częściowo taki spadek urodzeń u żydów tłumaczy się ogólnym spadkiem urodzeń. Trzeba jednak podkreślić, że spadek ilości urodzeń wśród żydów silniejszy jest, niż wśród narodów ich otaczających, co doprowadziło do znacznie niższej ilości urodzeń wśród żydów, niż wśród otaczającychich chrześcijan. Tak np. w Polsce ilość urodzin wynosi 38·8‰ wśród chrześcijan, a tylko 20·8‰ wśród żydów, w Rosji 43·3‰ wśród chrześcijan, a 24·1‰ wśród żydów, w Prusach 19·5‰ wśród chrześcijan, 11·1‰ wśród żydów Częściowo, ale tylko częściowo pochodzi to z faktu, iż żydzi są przeważnie ludnością miejską, gdzie stopa urodzeń jest niższa. Biorąc bowiem jedynie pod uwagę miasta, spostrzegamy i tu korzystny stosunek dla chrześcijan. Tak więc w Warszawie ilość urodzeń wynosi wśród chrześcijan 23·8‰, wśród żydów 16·8‰, w Łodzi 29·7‰ wśród chrześcijan, a 13·4‰ wśród żydów, w Nowym Jorku 21·3‰ wśród chrześcijan, 18‰ wśród żydów. Istotnem więc źródłem wydaje się uwolnienie się znacznych mas żydowskich z krępujących przepisów Talmudu i płynące stąd znaczne rozluźnienie obyczajów wśród żydów. Potwierdzeniem tego wydają się nie tylko cyfry, stwierdzające niższy odsetek urodzeń wśród żydów, zamieszkujących w krajach zachodnio-europejskich, który to odłam żydostwa pozornie żyje według zasad europejskich, a odsetkiem urodzeń wśród żydostwa, w znacznym jeszcze stopniu ortodoksyjnego, zamieskującego kraje wschodnio-europejskie, ale również cyfry, dotyczące żydów, żyjących według przepisów Talmudu, a tych, którzy ich nie wykonują, zamieszkujących różne dzielnice Berlina.

Obok tego po wojnie następuje druga zmiana, mająca bardzo poważne znaczenie dla kształtowania się ludności żydowskiej. Jest to zmniejszenie emigracji żydowskiej, w szczególności emigracji żydowskiej do Stanów Zjednoczonych. Tak więc ilość emigrantów żydowskich do Stanów Zjednoczonych spadła z 138 tys. w 1914 r. do niecałych 12 tys. w r. 1928. Imigracja żydów do innych krajów jest o wiele mniej liczna, a również ma tendencję do zmniejszania się.

Natomiast tem żywsze są przesunięcia w ramach poszczególnych państw. W przesunięciach tych, poza ruchami o charakterze lokalnym, da się

zauważyć jedna zasadnicza tendencja. Polega ona z jednej strony na skupianiu się żydów w wielkich miastach, w szczególności w stolicach, z drugiej strony na powstawaniu zwartych skupisk żydowskich. Proces ten doprowadził do tego, że 23% żydowstwa zamieszkuje w miastach o ludności ponad miljon mieszkańców, a 45% w miastach o ludności ponad 100 tysięcy. Powstaje ogromna gmina żydoska w Nowym Jorku, licząca 1765000 żydów, a obok tego 6 gmin żydowskich w Warszawie, w Łodzi, w Budapeszcie, w Wiedniu, w Berlinie i w Odessie, gdzie ilość żydów znacznie przewyższa 100000 w każdej. Również w szeregu mniejszych miastach powstają duże, aczkolwiek absolutnie mniejsze skupiska żydowskie, które jednak stanowią większość mieszkańców danej miejscowości. Wystarczy tu zacytować Białystok, gdzie ilość żydów wynosiła w 1921 r. prawie 40 tys. i prawie 52% ludności.

Te dokonywające się stale zmiany, zarówno jeśli chodzi o ilość żydów i szybkość ich przyrostu naturalnego, jak jeśli chodzi o zmiany, dotyczące rozmieszczenia żydów w świecie i w obrębie poszczególnych krajów, mają ogromne znaczenie dla sprawy żydowskiej, dla sprawy zaś żydowskiej w Polsce w szczególności. Z tych zmian niezwykle pocieszające jest zmniejszenie się przyrostu naturalnego wśród żydów. Tembardziej, że o czem przekonywa cały szereg względów tendencja tu nie jest przejściowa. Z nich wystarczy wymienić zmniejszenie się ilości małżeństw żydowskich, wzrost rozwodów wśród żydów, większy odsetek starszych roczników u żydów, niż u chrześcijan, skupianie się żydów w większych ośrodkach miejskich. Jest to, obok pomyślnych dla nas przemian gospodarczych, jeszcze jeden fakt, stwierdzający, że naturalny bieg wypadków działa na naszą korzyść.

Nie można wszakże taić, że są pewne tendencje w rozwoju żydostwa dla nas niepomyślne. Tu trzeba przedewszystkiem wspomnieć o zwiększaniu się ilości małżeństw mieszanych w całym świecie, czego typowym przykładem jest fakt, że w Trjeście ilość małżeństw mieszanych w r. 1927 wynosiła 57%. Tendencja ta musi się przejawić również w Polsce, gdy reforma prawa małżeńskiego, tak gorąco przez żydów popierana, pozwoli na małżeństwa z żydami wyznania mojżeszowego na terenie całego państwa. Dla nas, przy tej ilości żydów, jaką posiadamy, rozpowszechnianie się małżeństw mieszanych może doprowadzić do fatalnych skutków, zarówno jeśli chodzi o czystość rasy, jak i przez wzrost bezpośrednich wpływów żydowskich na bieg spraw polskich.

Skupianie się żydów w dużych ośrodkach miejskich, w szczególności w stolicy i w innych dużych miastach, które przecież tak wielki wpływ wywierają na dzisiejsze życie społeczne również jest zjawiskiem dla nas niebezpiecznem.

Wreszcie trudności, stawiane dziś imigracji żydów w Ameryce i w innych krajach, są walną przeszkodą emigracji żydowskiej z Polski, a przy popierającej żydów polityce naszego rządu i wobec wzrostu antysemityzmu na całym świecie, doprowadzają już dziś, a mogą doprowadzić w o wiele większych rozmiarach do imigracji żydowskiej do Polski.

Te wszystkie jednak tendencje ujemne nie będą dla nas niebezpieczne pod warunkiem prowadzenia właściwej polityki w sprawie żydowskiej, pod warunkiem zespolenia wysiłków społeczeństwa i państwa, zmierzających do zasadniczego rozwiązania sprawy żydowskiej w Polsce. Zmniejszenie się przyrostu naturalnego, pomyślne dla nas sprzemiany gospodarcze w Polsce i w świecie, wreszcie osłabienie wpływów żydowskich w polityce międzynarodowej — te wszystkie czynniki będą wspomagały planowa akcję naszą w tej sprawie.

J. PRUS

POLACY W OPINJI ZAGRANICY

W ARTYKULE, umieszczonym w numerze 21-m „Myśli Narodowej“ p. t. „Polska i Polacy w Literaturze Rosyjskiej“ p. Teodor Parnicki daje nam niezmiernie interesujący przegląd typów polskich w powieści rosyjskiej, z którego niestety wynika, że bodaj wszyscy bez wyjątku powieściopisarze rosyjscy tendencyjnie przedstawiają Polaków w świetle ujemnem. Pan Parnicki stwierdza, „że Polak w literaturze rosyjskiej jest nietylko przewrotny, ale także, a może częściej jeszcze samochwał, — silniejszy w gębie niż w szabli, przytem do śmieszności — w pojęciu rosyjskiem — zarozumiały, ambitny i chory na miłość własną“. „Warcholstwo i niekarność“ — pisze dalej autor—„skłonność do wandalizmu, zamiłowanie przesadne w uciechach stołu i łoża oto cechy n. zw. społeczne, ogólne, dopełniające obrazu niewątpliwie z naszego punktu widzenia godnego bliższego zastanowienia się“. Otóż zastanawiając się nad przyczyną tej upokarzającej dla nas karykatury, autor dochodzi do wniosku, że źródłem jej był instynkt samozachowawczy narodu rosyjskiego, nakazujący mu bronić się lekceważeniem i ośmieszaniem Polaków, idącemi w parze z niszczeniem polskości przez rusyfikację — przed możnością powstania na nowo sprawy polskiej, której znaczenie i niebezpieczeństwo dla Rosji w głębi duszy rozumiano i doceniano. Nie wchodząc w rozważanie słuszności tei tezy, łechcącej mile naszą miłość własną, pozwolę sobie jedynie zauważyć, że brzmiałaby ona bardziej przekonywająco, gdybyśmy mogli przeciwstawić ujemnej charakterystyce Polaków w literaturze rosyjskiej, dodatnie typy polskie, zdobiące karty powieści innych narodów, nie mających żadnego powodu do pomniejszenia roli Polski i do szkalowania jej synów. A jednak jeśli nie boimy się spojrzeć prawdzie w oczy, to musimy z głębokim żalem stwierdzić, że w całej literaturze światowej szlachetne typy polskie możnaby bodaj zliczyć na palcach jednej ręki. Natomiast nieprzychylna opinja o Polakach uwidocznia się nie tylko w literaturze narodów nam wrogich, jak Niemcy, lecz i tych, które zawsze uchodziły za naszych przyjaciół, że wspomnimy tylko literaturę francuską. Już p. Parnicki zwraca w artykule swoim uwagę na ujemny typ księcia Cernowicza, Polaka, sekretarza ambasady rosyjskiej w Turcji z powieści Claude Farréve'a „*L'homme qui assassina*“, przypisując ten objaw oddziaływaniu niepochlebnej opinji o Polakach w literaturze rosyjskiej. Sądzę, że jest to zbytnie upraszczanie sobie zagadnienia, bo ujemne postacie Polaków ukazują się na kartach powieści francuskiej jeszcze w tych czasach, gdy powieści rosyjskie były we Francji mało znane.

Co więcej, krytyczny stosunek do Polaków ujawnił się w powieściach autorów, umiejących odczuć tragedję porozbiorową narodu polskiego, a nawet żywiących dla bohaterstwa naszego w obronie wolności prawdziwy kult. Nie przeszkadzało to im jednak wysuwać na pierwszy plan typy ujemne, które sprawiają, że pomimo sympatji autora dla sprawy polskiej czyta się taką powieść z rumieńcem wstydu i upokorzenia. Wystarczy przytoczyć znaną powieść Victora Cherbuliez *„L'aventure de Ladislas Bolski"*, której bohater, niepozbawiony szlachetnych porywów i poświęcenia dla sprawy ogólnej, jest przy świetnych swoich pozorach niczem więcej jak lekkoduchem, słabym charakterem, niezdolnym — według autora — do pragnienia jednej i tej samej rzeczy choćby w ciągu dwóch tygodni. Rzecz szczególna, że podobnie surowy sąd o Polakach wydaje syn ziemi, obficie zroszonej krwią polską, przedstawiciel narodu, który w ciągu całowiekowej emigracji polskiej wessał w siebie wiele najszlachetniejszych jednostek, rozproszonych po wszystkich zakątkach Francji i reprezentujących Polskę z jaknajlepszej strony. Wszak, o ile mi wiadomo, sympatje marszałka Foch'a dla Polski sięgały jego lat młodych, w których miał możność obcować bliżej z jednym z takich właśnie szlachetnych wygnańców. Wobec tego powstaje pytanie, dlaczego pomimo tylu wspomnień tego rodzaju, Polacy naogół nie cieszyli się sympatją społeczeństwa francuskiego? Muszą istnieć jakieś głębsze przyczyny tego zjawiska, usprawiedliwiające pewną niechęć do Polski, pomimo tereotycznego uznania naszych praw do wolności, znajdującego swój wyraz w dyplomatycznej akcji rządu francuskiego, popierającej od czasu do czasu nasze ruchy narodowe w sposób co prawda dość chwiejny, a w rezultacie szkodliwy. Wykrycie tych przyczyn może nie było wskazane w okresie naszej niewoli. Dziś po uzyskaniu państwowego bytu staje się ono konieczne i pilne, bo winniśmy się strzedz popełniana dawnych błędów, usposabiających nieżyczliwie opinję zagranicą, zarówno do poszczególnych jednostek, jak i do państwa, którego jesteśmy przedstawicielami. Dla tego sądzę, że pewna próba analizy tego zjawiska, nie cofająca się przed samokrytyką lub ujawnieniem szczegółów bolesnych dla naszej miłości własnej, może i powinna być podjętą i to bez żadnych niedomówień.

Z chwilą, gdy po krwawym okresie wojen napoleońskich, Kongres Wiedeński przypieczętował niejako w swoim akcie finalnym dzieło rozbiorów naszej ojczyzny, rola Polski, jako państwa na terenie polityki międzynarodowej była ostatecznie skończona. Pewne nieśmiałe zastrzeżenia Kongresu, dotyczące zachowania instytucyj i praw narodowych na terytorjach polskich, przypadających mocarstwom rozbiorowym nie miały bynajmniej charakteru zobowiązań międzynarodowych, lecz były raczej apelem do wspaniałości monarchów, którzy według swojego uznania mieli określić, w jakim stopniu i zakresie mają być uwzględnione odrębności narodowe Polaków. Takim samym indywidualnym aktem dobrej woli monarchy była oktrojowana przez Aleksandra I-go konstytucja Królestwa Polskiego. Jednocześnie z wykreśleniem Polski z karty Europy, wśród rządów, podpisujących akt finalny Kongresu wzmagało się dążenie do stłumienia wszelkich rewolucyjnych czy narodowych ruchów i do stabilizacji stosunków politycznych w sensie przywrócenia absolutnej władzy monarchów i powrotu do zasad *ancien regime*'u. Zrazu tendencje te, nacechowane wybitnie reakcyjnym duchem Ś-go Przymierza, znajdowały zwolenników jedynie w sferze autokratycznych monarchów i ich najbliższego otoczenia, później jednak, po rewolucjach lipcowej i belgijskiej przeniknęły i do szerszych kół burżuazji, która osiągnąwszy zwycięstwo nad absolutnymi monarchami, aspirowała przedewszystkiem do ładu i spokoju, pozwalającego jej pracować i dorabiać się według słynnego hasła Guizota *„enrichisservous"*. W tej samej chwili gdy opinja publiczna w sferach zamożnej burżuazji szła w kierunku gromadzenia dóbr gospodarczych, wielotysięczna fala emigracji polskiej przypłynęła do Zachodniej Europy, a głównie do Francji. Wszyscy ci wygnańcy, bez względu na dostojeństwo, majątek czy stanowisko społeczne przejęci byli ideą odwetu za poniesioną klęskę i nieustającej walki z przemocą wroga. Wierzyli oni niezłomnie, że niebawem narody europejskie pójdą na święty bój w obronie wolności ludów. Z chwilą tą wiązali nadzieję bliskiego wyzwolenia Polski, to też wraz z Mickiewiczem modlili się o wielką wojne narodów. Kontrast pomiędzy nastrojami emigrantów, a realną i ostrożną polityką rządu i społeczeństwa francuskiego musiał stać się źródłem wielu przykrych starć i zawodów.

Pomimo urzędowej niejako sympatji dla sprawy polskiej, pomimo uchwalenia przez parlament dotacji dla emigrantów i subsydjowania instytucyj polskich, rząd Ludwika Filipa starał się przedewszystkiem o wyrobienie sobie u innych państw monarchicznych opinji obrońcy ładu społecznego i dlatego z pewnem zakłopotaniem, a nawet niechęcią odnosił się do rewolucyjnej propagandy polskiej. Gdy więc z drugiej strony burzliwe i niesforne żywioły, których nie brakło w łonie naszej emigracji, nie umiały nałamać się do roli ubogich krewnych, korzystających z łaskawie ofiarowanej im gościny na ziemi francuskiej i w sposób zbyt hałaśliwy starały się przekonać Francuzów o konieczności poparcia akcji wyzwoleńczej polskiej, to tego rodzaju agitacja wyrobiła emigrantom opinję niebezpiecznych marzycieli i burzycieli spokoju, a od tego był tylko jeden krok od uznania ich za żywioł niepożądany czyli — jak mówimy dzisiaj — za uciążliwych cudzoziemców. Można ubolewać nad tem, ale trzeba przyznać, że był to konflikt nieunikniony i nie przynoszący żadnej ujmy naszej emigracji, od której trudno było wymagać, aby swój program odbudowania Polski przystosowywała do ideałów spokoju, miłych ówczesnemu rentjerowi francuskiemu.

Gorzej jednak przedstawiała się sprawa w tych wypadkach, gdy powodem nieprzychylnego traktowania Polaków były wady naszego charakteru, które w ciężkich warunkach życia emigracyjnego uwydatniały się jaskrawo np. w postaci gorszącej, a nieraz wprost potwornej walki, zwróconej przeciw własnym rodakom. Rozpamiętywanie błędów powstania, rzucanie oszczerstw na najszanowniejszych ludzi, posunięte aż do wzajemnych oskarżeń o zdradę narodową, słowem całe te smutnej pamięci „potępieńcze swary" nie tylko zatruwały atmosferę w łonie emigracji, ale i nazewnątrz wywoływać musiały jaknajfatalniejsze wrażenie. Istotnie Francuz, o którego uszy odbijały się odgłosy tych niecnych szkalowań, nie mógł mieć wysokiego wyobrażenia zarówno o ludziach, wzajemnie zarzucających sobie zdradę, jak i o narodzie, który w chwilach klęski nie umiał się zdobyć na wytworzenie jednolitego frontu wobec wrogów, a przynajmniej

zachować pewną dyskrecję wobec cudzoziemskich przyjaciół, piorąc swoje brudy w rodzinie. Niestety i w innych dziedzinach życia emigracja polska budziła w nim wiele poważnych zastrzeżeń. Oto w miarę przedłużania się czasu wygnania, pogarszał się stan materjalny wielu emigrantów, a że byli to przeważnie ludzie, pochodzący z klas wyższych, nieposiadający żadnego fachu w ręku, wysadzeni z siodła, a jednocześnie mający przesadne wyobrażenie o roli, jaka im się należała w świecie z tytułu urodzenia czy stanowiska, więc gdy głód zaczął zaglądać im w oczy, nie umieli przystosować się do twardych warunków życia i, zerwawszy ze świetną przeszłością, wziąć się do porządnej pracy. Przeciwnie wielu z nich zachowało nawet na obczyźnie tradycyjne przesądy co do miarki i łokcia wraz ze wspomnieniem swych dawnych splendorów. Nie chcąc lub nie umiejąc pracować, wchodzili nieraz w kompromis z sumieniem, korzystając z ofiar, zapomóg lub pożyczek, i to nie zawsze dobrowolnych, lecz często z ujmą godności własnej wyżebranych.

O jednym z takich typów wspomina Cherbuliez w swojej powieści. Dawny pan z panów, znalazłszy się wraz z rodziną w nędzy, przyjmuje posadę komiwojażera, nastręczoną mu przez życzliwego cudzoziemca, lecz jednocześnie zużywa pieniądze, ofiarowane ze składek rodaków i cudzoziemców, na kupno pięknego wierzchowca, na którym jeździć będzie z próbkami wina, jako prawdziwy *eques polonus*, dbający o czystość swej herbowej tarczy. Zapewne jest to typ przez autora przejaskrawiony, ale uderzywszy się w piersi, musimy przyznać, iż nie tak znów bardzo daleki od prawdy. Dlatego trzeźwi i praktyczni cudzoziemcy, posiadający nadto kult pracy, jako jedynego godziwego źródła zarobku, nie mogli się pogodzić z wielkopańskiemi gestami naszych rodaków, połączonemi z nieukrywaną pogardą dla pracy i z elastycznością sumienia w przyjmowaniu materjalnej pomocy. Wyrabiało nam to opinję lekkomyślnych próżniaków, nie umiejących zapanować nad słabością swych charakterów i ceniących wyżej pozory blichtru światowego, niż powszechnie obowiązujące zasady moralne. Do wad lekkomyślności i próżności przyłączała się jeszcze wada bujnej imaginacji lub poprostu blagi, wywołana częściowo faktem, że Polacy na emigracji byli przedstawicielami jednej ze stron walczących, stale ponoszącej klęski. Tymczasem do tych klęsk nie można się było przyznawać, bo interes polityczny wymagał utrzymywania w Europie legendy o utajonych i niewyczerpanych siłach narodu, grożących w każdej chwili wybuchem w obronie wolności. Skutkiem tego przedstawianie istotnego stanu rzeczy w Polsce w fałszywem zabarwieniu stało się do pewnego stopnia obowiązkiem patrjotycznym, dyktowanym niejako przez polską rację stanu. Można sobie łatwo wyobrazić, jak wielkiej dozy fantazji wymagało np. przedstawienie powstania z 1863 r. jako ruchu, obejmującego wszystkie warstwy narodu, albo drobnych, a niestety tak rzadkich sukcesów poszczególnych oddziałów powstańczych za wielkie zwycięstwa, wróżące nam ostateczny trjumf w podjętej walce. Ileż to razy trzeba było zaprzeczać w żywe oczy rzeczywistym klęskom, byle tylko nie osłabić w sferach rządowych i dworskich II Cesarstwa nastrojów interwencyjnych w sprawie polskiej, bez czego najfanatyczniejsi zwolennicy ruchu zbrojnego nie mogli marzyć o zwycięstwie. Natura polska, skłonna zazwyczaj do fantazji i przesady, znajdowała tu obszerne pole do popisu, a że wobec braku urzędowego przedstawicielstwa Polski, każdy emigrant mógł poniekąd uważać się za emisarjusza sprawy polskiej, więc trudno się dziwić, że na tle walk powstańczych powstawały legendy o nieprawdopodobnych zwycięstwach, które wkrótce rozwiewały się pod tchnieniem ponurej rzeczywistości. Pozostało jedynie ujemne i uchybiające godności naszej wrażenie o Polakach, których nie można brać na serjo, bo w swem samochwalstwie prześcignęli nawet osławionych we Francji Gaskończyków.

(Dokończenie nastąpi) MARJAN KINIORSKI

SIR WALTER SCOTT

(15 SIERPNIA 1771 — 21 WRZEŚNIA 1832)

(Dokończenie)

WYCZERPYWAŁO się zwolna natchnienie Scotta. Aby się podniecić, a zająć czemś nowem czytelników, szukał on coraz nowych epok i środowisk, z któremi nieraz był niedostatecznie obznajomiony. Koloryt wschodni, niezbędny w „Talizmanie“, wziął poprostu ze współczesnej beletrystyki angielskiej. Nad krzyżowcami góruje tu rycerska postać sułtana Saladyna, a Ryszard Lwie Serce jest, jak zresztą w „Ivanhoe“, mocno wyidealizowany.

Podczas pisania „*Woodstock*“ doszła Scotta wieść o katastrofie finansowej i zaczął się okres pracy zarobkowej ponad siły. Stosy napisanych w tym czasie dzieł beletrystycznych i historycznych stanowią pomnik już nie genjuszu, lecz tylko charakteru Scotta. Zaledwie tu i owdzie pojawiają się przebłyski dawnego mistrzowstwa. Można to powiedzieć o dwóch nowelach „Dwaj zakonnicy“ i „Wdowa góralka“, w których Scott raz jeszcze, może doskonalej, niż gdziekolwiek indziej, odmalował sposób myślenia gaelickiej ludności gór szkockich.

Twórczość powieściowa Scotta góruje nad poetycką. Wprawdzie i najlepsze utwory bywają nierówne, ale nie mogło być inaczej przy tak olbrzymiej płodności. Nowoczesnego czytelnika razi wielomówność i pragnęłoby się niekiedy, aby autor był streścił się i skupił, redukując liczbę swych słów do połowy. To jednak należy przypisać wiekowi, w którym ludzie mieli więcej czasu i skłonni byli lekceważyć powieść, nie osiągającą rozmiarów paru tomów po kilkaset stronic. Niedokładności w rysunku obyczajów lub zdarzające się anachronizmy są niczem wobec świetnego wyczucia ducha poszczególnych epok. Razi czasem nieprawdopodobieństwo, ale Scott starał się za wszelką cenę czynić wątek zajmującym. Zresztą niezawsze sam tu ponosi winę. Niejednokrotnie wytykane cudowne

zmartwychwstanie Athelstane'a w „Ivanhoe" było wybłagane przez litościwego drukarza.

Poważniej przedstawiają się inne zarzuty. Rozmowy postaci historycznych lub należących do akcji miłosnej brzmią czasem niezbyt naturalnie; czarne charaktery kopjowane są nieledwie z Szekspira lub wogóle z dramatu elżbietańskiego; kobiety powieści Scotta są z małemi wyjątkami sztywne i słabo zindywidualizowane.

Usterki te równoważy jednak cały szereg zalet. Sam zakres zarówno epok i środowisk, jak postaci i nastrojów, jest imponujący. „Oblubienica z Lammermoor" przesycona jest ponurym kolorytem, odpowiadającym idealnie tragicznemu tematowi. Szereg przepowiedni przygotowuje coraz wyraźniej fatalne wypadki końcowe. Niema powieści Scotta, w którejby w tym samym stopniu przeważał nastrój pogodny i wesoły, ale każda prawie mieści epizody i postaci, tętniące przepysznym humorem. Że humor ten nie jest sztuczny, najlepiej widać z tego, iż znika w ostatnich, słabszych powieściach, pisanych po r. 1826. Sceny ludowe i mieszczańskie odznaczają się realizmem, który potęguje często użycie djalektu szkockiego. Charakterystyka rzadko jest subtelna, zato odznacza się wyrazistością. Szczególnie udaje się Scottowi malowanie grup etnicznych czy odłamów społeczeństwa i typowych ich przedstawicieli. Ulubioną jego metodą jest wprowadzanie kontrastów, które Scott wyzyskuje świetnie. Opowiada niewiele, chętniej posługuje się techniką dramatyczną. Wyjątek pod tym względem stanowi przedewszystkiem „Quentin Durward", pisany dla kontynentu, a w „Guy'u Manneringu" i w „Redgauntlecie" mamy próby użycia listów, pamiętnika i t. p. Choć konserwatysta i anglikanin, stara się Scott być bezstronnym. Zresztą, rzecz bardzo znamienna, że udają mu się lepiej postaci dodatnie, niż ujemne. Podobnie w obrazach epok, choć nie usuwa krwiożerczości, okrucieństwa, ucisku, chciwości, woli obszerniej malować rycerskość, wspaniałomyślność, poświęcenie, lojalność. I nie jest to idealizacja celowa. Raczej odbija się w twórczości własny, piękny charakter autora.

Nadzwyczajna sława, jakiej zaznał Scott już za życia, objawiła się szybko w naśladowaniach. Został on na długo prawodawcą romansu historycznegó i pozostał nim dla większości nawet po pojawieniu się „Salambo" Flaubert'a (1862), nowej odmiany, opartej na drobiazgowych studjach i na cyzelowaniu szczegółów, o jakiem on, piszący z rozmachem i nonszalancją, nigdy nawet nie pomyślał. Pomijając literatury obce, zakończę tu paru szczegółami o polskiej.

Młodzi romantycy, kupiący się koło Mickiewicza, znali Scotta i uważali go — może z pewną przesadą — za typowego przedstawiciela i przywódcę ruchu literackiego, do którego się przyłączyli. Odyniec przełożył „Pieśń ostatniego minstrela", „Dziewicę z jeziora" i parę ballad. W „Panu Tadeuszu" wykazano przedewszystkiem wpływ techniki, objawiający się np. w tajemniczej roli przebranego Robaka, który jest prawdziwym bohaterem obok mniej ważnego Tadeusza, będącego ośrodkiem akcji miłosnej, ale biernego. Postaci starych sług, prawników, rezydenta pojawiają się często u Scotta. Nie znaczy to, aby Mickiewicz wprost się zapożyczył. W każdym razie wielki Szkot nie pozostał bez wpływu na dobór osób naszej epopei. Do urozmaicenia toku „Pana Tadeusza" opisami polowań mógł przyczynić się „Waverley", „Guy Mannering" i inne romanse, a także poematy Scotta. „Przyczynić się" mówię, gdyż myśl narzucała się z natury rzeczy. Zresztą nie chcę tu wdawać się w szczegóły, sprawa została już obszernie omówiona w osobnych studjach Wojciechowskiego i Windakiewicza, a wybornie także ujmuję ją Borowy (w pracy „O wpływach i zależnościach w literaturze") i Pigoń we wstępie do „Pana Tadeusza".

Pierwszymi naśladowcami Scotta, piszącymi powieści historyczne, byli Bernatowicz i Bronikowski (który posługiwał się językiem niemieckim). Krasiński w okresie młodzieńczym był przekonany, że wzoruje się na Scot'cie, brał jednak z niego głównie rzeczy mniej wartościowe i był raczej bajronistą. Niejednego nauczyli się od Scotta Rzewuski i Kraszewski. Kaczkowski w swem najdorzalszem dziele jest eklektykiem, skłaniającym się to ku Flaubert'owi, to ku Scottowi (np. przez wprowadzenie pierwiastku nadprzyrodzonego). Natomiast największy nasz powieściopisarz historyczny należy niewątpliwie do szkoły Scotta, działającego i wprost i za pośrednictwem Dumas'a.

Utwory Sienkiewicza są niewątpliwie doskonalsze. Osiąga on bardziej organiczny związek między akcją miłosną, postaciami charakterystycznemi i dziejowemi wypadkami. W każdym razie używa ulepszonej techniki Scotta, który zupełnie tak samo budował swe powieści. Sienkiewicz znał go nawylot, gdyż niewątpliwe wypadki świadomego czy nieświadomego naśladowania dotyczą nie najsławniejszych, ale mniej sławnych i słabszych romansów Scotta.

Przytoczę tu parę takich wypadków, zaznaczając, że na niektóre z nich zwracałem już w druku uwagę.

„Legenda o Montrosie" wywarła znaczny wpływ na „Potop". Samo wyznaczenie wypadkom wojennym tak obszernego miejsca jest punktem stycznym. Trjumfy Kmicica w wojnie podjazdowej odpowiadają czynom Montrose'a. Fortele Zagłoby, w szczególności jego ucieczka w płaszczu i hełmie Rocha Kowalskiego, trącą epizodami, których bohaterem jest Dugald Dalgetty — ów najemnik bez zmazy i trwogi zupełnie w stylu podobnych z „trylogji". Należy dodać dyskusje teoretyczne o sztuce wojennej i reminiscencje z wojny trzydziestoletniej. Są identyczne rysy w postaciach księcia Argyll i Janusza Radziwiłła. Wszystko to u Sienkiewicza znajduje oparcie w jego materjale historycznym, działa też identyczność epoki, wykonanie jest w „Potopie" o wiele świetniejsze, niż w „Legendzie o Montrosie", zależność pewna jednak nie ulega wątpliwości.

Chaverhouse z „*Old Mortality*" mógł odegrać pewną rolę w idealizacji Jeremiego Wiśniowieckiego.

Pomysł sławnej sceny na początku „Ogniem i mieczem", w której Zagłoba przedstawia Podbipiętę, przekręcając nazwisko, herb i nazwę majętności, zapożyczony jest z „*Woodstoch*": po klęsce pod Worcester Karol II uchodzi w przebraniu i przybywa do zamku Sir Henryka Lee wraz z jego synem. Ten przedstawia go jako Szkota ze znakomitej rodziny: „Oto jest imć pan Ludwig Kerneguy, syn milorda Killstewers z Kincardineshire". Obecny przy rozmowie wesoły kawaler, który jest najczęściej pijany, powtarza: „Imć pan Ludwik Girnigo, syn lorda Kilsteer" (więc jakby bykobójcy) z „Gringardenshire" (gdyby w pierwszej zgłosce *i* wymówić długo, byłoby to: hrabstwo zielonych ogrodów).

Niewątpliwie kpiny z nazw szkockich, dziwnie brzmiących dla Anglika, poddały Sienkiewiczowi podobny stosunek Polaka z centrum kraju do egzotycznych nazw litewskich.

Nick Strumpfer, niemy sługa czarownicy Norny z „Korsarza“ poddał zapewne postać Czeremisa.

Bohaterem powieści „Piękna dziewczyna z Perth“ jest dzielny płatnerz Henryk Gow. Kocha on łagodną Katarzynę, która pragnie, aby jej przyszły mąż żył wedle zasad miłości chrześcijańskiej. Tymczasem Henryka ustawicznie ponosi temperament, a że ma on ciężką rękę, więc raz po raz rani i zabija przeciwników. Chciałby jednak zastosować się do życzeń narzeczonej, cóż kiedy bójki ustawicznie same mu się narzucają... Odbiło to się na postaci Ursusa.

Ten sam Henryk Gow ofiaruje Katarzynie rubinowe serce w sakiewce z napisem:

Love's darts
Cleave hearts
Trough mail-shirts.

W „Panu Wołodyjowskim“ Krzysia śpiewa pieśń, której pierwsza zwrotka brzmi:

Wierzcie rycerze,
Na nic pancerze,
Na nic się tarcze zdały!

Przez stal, żelazo
W serce się wrażą
Kupida ostre strzały!

Drugi trójwiersz jest poprostu przekładem.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

O RZETELNOŚCI POETYCKIEJ

(Z POWODU ZBIORU POEZYJ STANISŁAWA WYRZYKOWSKIEGO)

KTÓREGOŚ skwarnego popołudnia, włócząc się bezmyślnie i apatycznie po paryskim bulwarze św. Michała, ujrzałem u antykwarjusza książkę tak bardzo przez siebie lubianego Remy de Gourmonta: „*Dans la tourmente*“ — W zawierusze. Zawierała krótkie a wstrząsające wojenne refleksje z kwietnia-lipca r. 1915. Dzięki słynnej w łacińskiej dzielnicy, a tak bardzo popierającej kulturę, trwającej nieraz *ad infinitum* możności przerzucania przeznaczonych na sprzedaż książek, zauważyłem zdanie, które mnie odrazu podnieciło. Brzmiało jak następuje: Okropnością będzie po wojnie przemianowanie wartości, w rozmiarach, jakim równych nigdy się nie ujrzy. Na długi okres czasu zapanuje straszliwe niedbalstwo sądu, z czego pisarze marni, nierzetelnej pewności siebie, będą umieli korzystać, podczas gdy inni, zawsze nieśmieli i godni, bardziej jeszcze niż zazwyczaj na tem ucierpią.

Nabywszy pożółkły już wolumen, powielokroć odczytywałem potem te prorocze, przedśmiertne słowa w najlepszem znaczeniu wyrazu arystokratycznego poety, krytyka i publicysty. Przepowiednia sprawdziła się co do joty. Dziś, gdy zapragnąłem napisać o poezjach Wyrzykowskiego, przypomniała mi się znowu. Ów bezceremonjalny, a jak u nas wprost niewładający polszczyzną fach pisarski rozpasał się niebywale. A surowość względem siebie i wstręt do schlebiania niewyrobionym czy zwyrodniałym gustom tak łatwo nazwać brakiem wyczucia chwili. Możnaby wymienić obecnie wydawnictwo, które wbrew pięknym tradycjom hołdować poczęło powojennemu upadkowi przyzwoitości, nawet dosłownej.

Wyrzykowskiego dawniejszy „*succès d'estime*“ wydaje się dziś niezwykle sprawiedliwą miarą, jaką mu wydzielono. Aryjczyk, stuprocentowy Polak, ambitny kresowiec i szlachcic, nie znalazł dzisiaj sobie należnego miejsca w piśmiennictwie. Świetna powieść o „moskiewskich godach“ została niedoceniona. Sprawa inscenizacji „Zborowskiego“ skończyła się, nie wątpię, że nie definitywnie, szeregiem przykrości. „Plon życia“ przydusiły chwasty[1]).

Jako najistotniejszą cechę poezji Wyrzykowskiego uznałbym „wolę mocy“, bynajmniej zaś nie ową akcentową ongi przez Feldmana „bladą melancholję“, za którą zawsze można wziąć zdolność wielkiej wrażliwości odczuwań. Nawiasem — ileż to razy w listach spowiada się z melancholji niezłomny w swej najgłębszej istocie Słowacki!

„Kowa ma wola, kowa
Kruszec polskiego słowa
Jak młot, jak młot, jak młot!“

I oczywiście stwierdzić tutaj należy ewolucję, nie „transfigurację“ Wyrzykowskiego. Dawny tłumacz Nietzschego, wydawca mistycznych pism Słowackiego, predestynowany był na to stanowisko, które zajął w teraźniejszej fazie swej twórczości. Pogłębiła się tylko refleksja, wydoskonaliła forma. Wiersze dawniejsze, słabsze, mają przytem swoją zajmującą wymowę jako wyraz tej właśnie rzetelności, o której zasadniczo pragnę pisać: jeden z kierowników „Życia“, współpracownik „Chimery“, w gruncie rzeczy Wyrzykowski — poeta uznawał za swój obowiązek „nadstawiać głowy“ jak i potem, gdy w tym samym goncourtowskim 1915 roku w swem zakopiańskiem mieszkaniu gromadził prokoalicyjną konspirację w osobach Kasprowicza, Żeromskiego, Rybarskiego, Rawitów-Gawrońskich[2]). Jak zaznaczyłem, ewolucja twórcza w „Plonie życia“ bardzo jest widoczna. I trudno zrozumieć, czemu np. nie zyskał sobie szerokiej popularności, u nas, gdzie mało drobnych pieśni, wspaniały, a przecie dość dawno już w „Tygodniku Ilustrowanym“ drukowany „Hymn Wielkopolski“. „Menada“, „Ołów“, „Pod cmentarnym obeliskiem“ są arcydziełami, których nie powstydziłby się Keats. A jak zacząłem od Goncourta, tak skończę suponowaniem, że z całą bezwzględnością, tak jak i ja, pisałby się Wyrzykowski na inne jeszcze zdanie tegoż: „Nienawidzę nieprecyzyjności, uczyniłbym ją odpowiedzialną za wszystko zło. Nienawidzę retoryki, jej matki“.

TADEUSZ NEWLIN-WAGNER

[1]) „Plon życia“ Warszawa. Dom Książki Polskiej.

[2]) Por. „Dziennik.“ Marji Kasprowiczowej, 1932, str. 262.

NA WIDOWNI

O polskim wiatraku i wietrze wschodnim. — Stosunki gospodarcze. — Polityka zagraniczna i młodzież. — „Wschód“ to nasza dziedzina, zachód — to „Sprawy obce“. — Prometeizm wschodni i pacyfizm zachodni.— Wychowanie bizantyjskie w szkołach.

O CZEMŻE TERAZ, jak nie o wychowaniu... Rok szkolny właśnie się zaczął; w tej chwili biadamy nad losem młodzieży uniwersyteckiej. Nie myśleliśmy, uchwalając konstytucję, że bezpłatne nauczanie będzie tak kosztowne.

Wogóle wiatr się zmienił. Polska wciąż jest wiatrakiem, szukającym wiatru.. Teraz mamy wschodni wiatr, od którego usycha wszystek kwiat duchowy, wyhodowany w kulturze zachodniej, a gleba zamienia się w pustynię.

Oto jak ocenia wpływ tego wiatru na podstawy gospodarcze taka „Gazeta Handlowa“:

„Gdzieindziej obywatel zarabiający uważany jest za wzorowego i najbardziej godnego do naśladowania. Państwo wytwarza tam taką atmosferę, takie warunki, aby obywatel mógł jaknajwięcej zarabiać i czuć się dobrze. Niestety, w Polsce wciąż jeszcze obywatel zarabiający jest podejrzany i należy do kategorji ludzi, otoczonych wywiadem i narażonych na różne przykre niespodzianki... Inaczej, jak sąsiedztwem z Rosją sowiecką nie możemy sobie wytłumaczyć wywłaszczania i poniżania obywatela, zarabiającego na wasnym warsztacie...“

Tem też tłumaczy się animozja, skierowana do szkół wyższych, jako ogniska cywilizacji zachodniej, i pielęgnowanie nowych latorośli z ideologją wschodnią.

Mam teraz przed sobą dziwne wydawnictwo: „W s c h ó d, ilustrowany kwartalnik, poświęcony sprawom wschodu“. A dalej: „Organ polskiej młodzieży akademickiej, zgrupowanej w orjentalistycznych Kołach Młodych, poświęcony sprawie przyjacielskiego zbliżania i zapoznania się z narodami Bliskiego i Dalekiego Wschodu“. Ostatni zeszyt „Wschodu“ obejmuje 142 strony *in 4-o* w 2 szpalty na pięknym papierze. Złożony w pół, w kształt dużej ósemki, dałby gruby tom z 284 stron. Koszt takiego jednego zeszytu wynosi najmniej 10.000 zł. Dochodu zaś może dać (2 zł. egz.) co najwyżej 100 zł. Uboga młodzież wydatku tego nie ponosi, wiadomo, że „Grecja“ płaci.

Polska według ideologji „Wschodu“ — załatwiwszy się ze swoją niepodległością, musi teraz zająć się sprawą ludów ujarzmionych, mianowicie: „narodów Kaukazu, U k r a i n y, B i a ł e j R u s i, Turkestanu, Idel. Uralu, Krymu, Kozakji, a w dalszej konsekwencji — Indyj i innych“.

„Szczególnie Polska dzięki pewnym m o ż l i w o ś c i o m m a t e r j a l n y m i swemu położeniu nabiera charakteru gwiazdy przewodniej dla krajów uciśnionych i napastowanych... Polityka Polski łączy w całość najwznioślejsze ideały ludzkości ze sprawami swego życia praktycznego i codziennemi wymogami... Przed młodzieżą n a r o d ó w w s c h o d n i c h, narodów uciśnionych Związku Prometeusza oraz przed młodzieżą odrodzonej Polski leży wielki i wzniosły obowiązek zrealizowania idei Wielkiego Sojuszu“.

Wynika z tego, że Polska należy do systemu narodów wschodnich, jako ich protektorka. Zapewne idea Wielkiego Sojuszu (przez duże litery) warta jest tych 10.000 złotych, ale pytanie, w jakim stosunku do r e a l n y c h interesów Polski znalazła się owa idea „irracjonalnej spólnoty losów dziejowych w przyszłości“. Przedewszystkiem niema tych 10.000 zł., potem Polska sama jest zagrożona od Zachodu i o tem trzeba myśleć, podpisaliśmy pakt o nieagresji — to trzy, a po czwarte, piąte i setne: czemuż ta młodzież i jej kierownicy, oddani interesom nacjonalizmów na wschodzie, tak wrogo zachowują się wobec nacjonalizmu polskiego? Cały ten aparat wschodni dorobiony jest, pod pokrywką romantycznej ideologji, do bardzo wschodniej roboty nad odrywaniem od Polski dzielnic ruskich. Czytając taki „Wschód“, trudno dać wiary oczom, że owe sanacyjne i orjentalne Koła Młodych przepojone są poprostu patrjotyzmem... ukraińskim. W całem piśmie nie widzę ani krzty patrjotyzmu polskiego... A dla czegóż to ci prometeusze nie studjują zagadnień na Pomorzu i uwagę odwracają na wschód?

Nie będę dochodził, jak sfery wychowawcze godzą tą awanturniczą wiatrologję wschodnią z pacyfistyczną wiatrologją zachodnią, na którą łożą z tej samej szkatuły, wydając równie kosztowne „Sprawy Obce“.

Położenie polityczne na Zachodzie charakteryzuje się istnieniem i postawą Niemiec. To też, gdy mowa o pacyfizmie i rozbrojeniu, tylko grozę niemiecką można mieć na myśli. Zachodzi więc pytanie, czy naród bezpośrednio zagrożony ma obowiązek szukać lauru w propagandzie idei rozbrojenia fizycznego, a nawet „m o r a l n e g o“? Pan minister Zaleski, pracujący na niwie polityki polskiej od r. 1915 (od czasu swej orjentacji wojennej), na łamach „Spraw Obcych“ dając ton w przedmowie całemu wydawnictwu, utrzymuje, że tak. Polska ma być dumna ze swej roli, jaką odegrała w akcie potępienia wojny (jaka niewdzięczność! Bo coby z nami było, gdyby nie wojna), o akcie Locarneńskim, w pakcie Briand-Kellog, w komisjach rozbrojeniowych, w memorandum z 1931 o rozbrojeniu moralnem... Zdawałoby się, że mamy możność zapomocą tej propagandy pacyfizmu wychowania Niemców. Ale „Sprawy Obce“ wydawane są dla Polaków, one nas rozbrajają moralnie. I to nie jest wychowanie dobre. Naród bowiem, rozbrajający się moralnie, przez to samo uzbraja niemoralnego sąsiada.

Zostanie w historji legenda masońska z tych czasów o pacyfiźmie Polski. „Sprawy Obce“ ubolewają, że „nie może się Polska poszczycić tak efektownemi legendami z dziedziny pacyfizmu, jak Chiny, które rozwiązały kwestję rozbrojenia 2600 lat temu“... Ale bo wogóle Polska nie wzorowała się dotąd na Chinach. Teraz kiedy pójdziemy za przewodem „sanacji“ na wschód i jako „Prometeusz“ narodów zaczniemy nową erę uzbrajania innych, a rozbrajania siebie, legenda Polski stanie się niemniej „efektowna“ od chińskiej.

Bo skąd się biorą ci wschodni prometeusze? Odkąd ustawiono nasz wiatrak do wschodu, ze szkół sypie się przemiał w gatunku razowym ze słabą edukacją, bo na nią niema czasu i z grubą etyką bizantyjską. Opowiadano mi rozmowę w pewnej organizacji młodzieży narodowej z wyższej uczelni ze świeżymi maturzystami. Skądże wy tutaj — pytają — przecież w szkole należeliście do „legjonu młodych“ (młodzież sanacyjna). A cóż mieliśmy robić? — odpowiadają — łatwo tym mówić, którzy dobre mieli stopnie... Mybyśmy inaczej nie skończyli szkoły.

Ci chcą jeszcze drogą swoją prostować, inni wstępują do kół „orjentalistycznych“ na „Wschód“. To się opłaca. Przypomnę przytoczony w poprzednim zeszycie „Myśli Narodowej“ wypis ze

sprawozdania szkolnego. W ciągu 8 miesięcy dzieci urządziły 13 akademji galowych. „Świat" warszawski, neutralny zresztą w rzeczach polityki, dodaje z tego powodu:

„Gimnazjum wileńskie bynajmniej nie stanowi unikatu pod tym względem, można je raczej uważać za typowy okaz pojmowania wychowania obywatelsko-państwowego w sposób „galówkowy".

W tych dniach spotkałem znajomego oficera, ojca dwojga dzieci:

— Czemuż to pan kapitan odebrał dzieci ze szkoły „Rodziny Wojskowej"? — spytałem.

— Bo od września do połowy grudnia przygotowywano je do jednych imienin, a od Bożego Narodzenia do połowy marca — do drugich. Tylko deklamacje, śpiewy, komedyjki, powinszowania. Na poważną naukę już czasu nie starczało. Jest to powszechny głos rodziców".

Pokazuje się jednak, że zblizka, gdy chodzi o nasze dzieci, umiemy się poznać na stylu wychowawczym. Przez szkoły ten styl dosięga naszego serca i staje się w całości swej widocznym. Gdy wszystko ustępuje na bok, i sprawa charakteru i edukacji, dla jakiegoś motywu politycznego formalnej natury, nie można nikogo łudzić, że się robi coś trwałego dla Polski. To, co przytoczył Rembieliński w zeszłym tygodniu „Na widowni" o szkole, która straciła prawa z powodów natury galówkowej, pomimo że jest uznana za wzorową, pomimo że wydała takich ludzi, jak ks. Skorupka i inż. Wigura, to powinno zreflektować nawet gorliwców nowego stylu, że jednak jakiś szacunek starej architekturze cywilizacyjnej się należy.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

ROZWIĄZANIE OBOZU WIELKIEJ POLSKI NA POMORZU nastąpiło w dn. 26 b. m. na mocy zarządzenia wojewody pomorskiego p. Kirtiklisa. W uzasadnieniu tego kroku politycznego podano jako powód, że działalność O. W. P. na terenie tego województwa „zagraża pokojowi, bezpieczeństwu i porządkowi publicznemu"...

Akt ten rządu polskiego wywołał wielkie wrażenie w całym kraju, który właśnie całą uwagę swoją skupił na Pomorzu i dawał moralne poparcie organizacjom narodowym, mającym na celu obronę kraju.

„Kurjer Poznański" z dn. 27 września (nr. 440) tak scharakteryzował organizację O. W. P. na Pomorzu:

„Sześćdziesiąt tysięcy członków Obozu Wielkiej Polski, reprezentujących najzdrowsze moralnie i najbardziej pod względem narodowym wartościowe żywioły na Pomorzu, były oddawna przedmiotem szczególnej nienawiści ze strony Niemców i Żydów.

„Berlin, wyciągający drapieżne ręce po Pomorze polskie, z nieukrywanem przerażeniem spoglądał na potężny rozwój ruchu narodowego wśród młodego pokolenia tej dzielnicy, widząc w nim najsilniejszą i najlepiej zorganizowaną zaporę przeciw zakusom krzyżackim. Wystarczyło przeglądać prasę niemiecką, by stwierdzić, z jaką furją pisała ona o *„Lager des grossen Polens"*.

„Solą w oku był zwłaszcza dla planów niemieckich rozrost Obozu nad samym Bałtykiem, wśród Kaszubów, których Niemcy chcieliby w swej propagandzie przedstawić jako osobny naród, „ujarzmiony" przez Polskę. Drobną ilustracją tego rozrostu niech będzie fakt, że w samym powiecie morskim — z Gdynią włącznie — istniało 67 placówek Obozu Wielkiej Polski, a liczba jego członków wzrosła tam w ciągu ostatnich kilku tygodni z 800 na 8000.

„Obóz za główny swój cel uważał pogłębianie kultury polskiej na Pomorzu i uświadamianie swych członków o niebezpieczeństwie niemieckiem. Świeżo jeszcze staraniem Obozu w całem województwie odbyły się uroczyste obchody 650-lecia testamentu księcia Mestwina II, mocą którego Ziemia Pomorska złączyła się z resztą Polski.

„Kiedy po drugiej stronie granicy i na obszarze Gdańska w koszarach hitlerowskich szkolono zbrojne szeregi pod hasłem ponownego zagrabienia „korytarza" polskiego — nadgraniczne wioski i miasteczka województwa pomorskiego pokrywały się coraz gęstszą siecią placówek Obozu Wielkiej Polski, w których coraz donośniej rozbrzmiewało hasło „Młodzi czuwajcie"!

„Obóz zostaje rozwiązany w chwili, w której rozwój organizacyj nacjonalistycznych o charakterze wojskowym ogarnia wszystkie warstwy społeczeństwa niemieckiego i w której dokonywa się na wielką skalę odbudowa przedwojennego militaryzmu prusko-niemieckiego.

„Obok Niemców szczególną nienawiścią do Obozu pałali Żydzi. Z szeregów tej właśnie „klasy ludności" padło najpierw — jak już o tem donosiliśmy — żądanie rozwiązania O. W. P. na Pomorzu. Żydzi bowiem zdawali sobie sprawę z tego, że Obóz jest główną zorganizowaną siłą, która skutecznie walczy z zalewem życia gospodarczego i kulturalnego Polski przez żywioł żydowski. Żydzi zdawali sobie sprawę szczególnie z tego, że placówki Obozu na ziemiach zachodnich, głównie zaś na Pomorzu, stanowią nieprzebytą zaporę dla ich inwazji ku zachodowi Rzeczypospolitej. I rzeczywiście właśnie Obóz organizował po miastach i wsiach województwa pomorskiego akcję przeciw zalewowi żydowskiemu przy pomocy tłumnych zebrań, odpowiednich ulotek, artykułów w prasie, osobistej propagandy i t.p. Jeśli w takim np. Toruniu napór żydostwa uległ pewnemu zahamowaniu, to jest to przedewszystkiem zasługą Obozu Wielkiej Polski. Stąd właśnie te zaciekłe i nieprzytomne ataki prasy żydowskiej, stąd wołanie: „rozwiązać Obóz!

„Trzecim wreszcie czynnikiem, któremu istnienie i rozwój Obozu był bardzo nie na rękę, były wszelkiego rodzaju żywioły wywrotowe. Chciały one wyzyskać obecną ciężką sytuację gospodarczą do łowienia ryb w mętnej wodzie; młode pokolenie jednak, wiedzione zdrowym instynktom, miast iść w szeregi stronnictw klasowych, skupiało się coraz liczniej w Obozie Wielkiej Polski. Organizując w swych szeregach liczne rzesze bezrobotnych, Obóz spełniał na Pomorzu doniosłą rolę państwową, gdyż zagradzał drogę radykalizmowi i czerwonej demagogji.

„W parze z pracą społeczno-polityczną szła działalność moralno - wychowawcza Obozu, jego walka ze zgnilizną etyczną, upadkiem obyczajów, lenistwem i zobojętnieniem na sprawy publiczne. Stąd też miłość i serdeczne przywiązanie, jakiem społeczeństwo pomorskie darzyło „obozowców" — te uczucia, które znalazły dwa tygodnie temu tak żywiołowy wyraz w czasie zjazdu rejonowego O. W. P. w Toruniu".

„Dzisiaj Obóz Wielkiej Polski jest na Pomorzu rozwiązany. Wielki wysiłek organizacyjny został przekreślony. Czyż jednak wśród ludzi, wyczuwających tętno życia polskiego, jest choćby jeden, któryby sądził, że walka młodego pokolenia o ziszczenie nieśmiertelnych ideałów narodowych ulegnie choćby na chwilę zahamowaniu"?

„KRYZYS LIGI NARODÓW"... Nic to w istocie nowego. Od samego początku wiadome było, że instytucja genewska stanie przed widmem zagłady, gdy po raz pierwszy wyraźniej zarysuje się jakiś konflikt nie drugorzędnych państw, lecz wielkich mocarstw. Wiadomo, że to miała być ogniowa próba. Oczekiwano też jej od początku. Konflikt przyszedł najpierw w postaci idealnie dogodnej, gdy między Chinami i Japonią wywiązał się o Mandżurję zatarg zbrojny. Zastosowanie sankcyj, przewidzianych w stosunku do państwa napastnika, w tym razie nie naruszałoby pokoju w Europie, przeciwnie, wymagałoby zgodnego współdziałania państw europejskich, w dodatku przy zapewnionem poparciu Ameryki, i prawdopodobnej życzliwości Rosji Sowieckiej. Ale i w tak idealnej konjukturze związek narodów nie zdobył się na przykładne ukrócenie państwa, łamiącego prawo Ligi. Konflikt chińsko-japoński dotąd nie znalazł w Genewie „rozstrzygnięcia": główną mądrością było odraczanie decyzji. I teraz, kiedy raport Lyttona jest gotowy, ciężar „rozstrzygnięcia" obarczy dopiero Zgromadzenie, które dla tej sprawy specjalnie zebrać się ma w połowie listopada. Gdy tak rzecz się ma z odległym azjatyckim konfliktem, to kwestja odrodzenia militarnego Niemiec wystawia Ligę na cięższą o wiele próbę. Jest to bezpośrednia groźba rozłamu wśród wielkich europejskich mocarstw: zapowiedź konfliktu w kształcie najbardziej dla Ligi niedogodnym. Gdyby i tu nie znaleziono sposobów na oddalenie zatargu, i gdyby miał się wprędce zarysować wyraźniej, Liga nie mogłaby przetrwać nawet pierwszej jego fazy. — W obliczu tak konkretnego dla Ligi niebezpieczeństwa, o „Kryzysie Ligi Narodów" mówią już wszyscy — spostrzegły rzecz i te pisma, które dawniej, przez sympatje ideowe lub hypokryzję nie ważyły się na tytuły tak zuchwałe. W ostatnim tygodniu czytaliśmy pod tym nagłówkiem artykuły w „Robotniku" oraz w „Gazecie Polskiej". Zwłaszcza w półurzędówce, po banałach, stale wypisywanych na temat Ligi, nagłówek podobny raził efektem nagłej niespodzianki, jak coś oderwanego zupełnie od zwykłego toku myśli. W istocie tylko stary banał zastąpiono nowym, trochę improwizowanym. „W zasadzie jednak wydaje się" — czytamy (27.IX) — „że kryzys przeżywają raczej marzenia o Lidze, niż Liga sama, Liga, która kto wie czy nie wzmacnia swej użyteczności przez rezygnację z niektórych ambicyj, czy nie wzmaga wpływów przez ograniczenie roszczeń, czy nie podnosi swego autorytetu"...—lecz dosyć. Nie w tem leży punkt ciężkości sprawy.

TERAZ PRZY ZAOSTRZAJĄCYM SIĘ KRYZYSIE LIGI, widać najlepiej, jak niezmiernie daleko jesteśmy od instytucji genewskiej. Nie włożyli w nią wiele z siebie jej twórcy, narody zachodnie. Nie odbiła się w niej prawdziwa głębia ich ducha, ani aspiracje, ani ideały. Ale w każdym razie powołanie do życia tej centralnej instytucji międzynarodowej ich było dziełem. Myśmy przywiązani zostali do niej wyłącznie przez przypadek dziejowy. W stosunku do tego, bądź co bądź twórczego, wysiłku narodów zachodnich byliśmy zupełnie na uboczu, nie rozumiejąc nic. Jak obce naszej myśli było to dzieło Ligi Narodów, o tem znakomicie przekonać się można, przyglądając się działalności różnych Kół Przyjaciół Ligi Narodów, jakie u nas powstały. Nie wzięliśmy udziału w budowie Ligi, nie wyróżniliśmy się odrębną aktywnością także od chwili, gdy przedstawiciel Polski zasiadł „pół stale" w Radzie.—Dziś, w momencie, gdy istnienie Ligi zostaje zagrożone, Polska po raz trzeci ubiegać się będzie o miejsce w Radzie. „Załatwienie sprawy wyboru Polski do R. L."—pisała „Gazeta Polska" w cytowanym już artykule—„będzie miało charakter symptomatyczny nietylko dla nas. Będzie to bowiem bardzo wyraźne wskazanie, w jakiej mierze przeważa w Lidze Narodów to, co najgłębiej stanowi o jej wartości, t. j. objektywizm polityczny". Brzmi to znowu, być może, jak banał, ale niebanalny zupełnie sposób wybrała delegacja polska do obudzenia cennego objektywizmu politycznego Ligi. Majestat państwa przy sposobności zgłoszenia kandydatury polskiej ucieleśnił *chargé d'affaires* delegacji, radca Gwiazdowski — przed zmianą nazwiska: Grosstern. Ciekawe, komu lepiej przy tej *prestige*'owej okazji przedstawiła się rządność i mocarstwowość Polski. Polakom czy obcym?

O POMNIKACH TERAZ STAWIANYCH WIELKIM POLAKOM, otrzymujemy w liście takie uwagi:

Pomnik Kościuszki w Łodzi — dłuta Lubelskiego i pomnik Mickiewicza w Wilnie — dłuta Kuny — czy to nie zawiele? Ambicją każdego narodu jest stawianie pomników swoim ludziom wielkim nietylko własnym kosztem, lecz przedewszystkiem — własnemi rękami, własnym duchem i sercem, własną twórczością. Polska posiada obecnie pierwszorzędnych artystów-rzeźbiarzów Polaków, ale gdyby ich nawet nie miała, społeczeństwo powinno albo zaczekać, albo wyrażać swój hołd środkami, jakiemi w danej chwili rozporządza, ale—własnemi, z krwi i ducha własnemi. A już pod żadnym pozorem nie wolno nam powierzać pomników podstępnym wrogom Polski—żydom, nadomiar tandeciarzom. Ale sfery polskie, dzisiaj w sztuce miarodajne, spodlały. Niema w nich ani godności narodowej, ani dostojności artystycznej.

Spójrzmy, jakie stąd wynikają skutki (nie mówiąc o innych) objektywne. Każde dzieło sztuki nosi rasowe, narodowe i osobiste rysy swojego twórcy. To jest niezłomne prawo psychologiczne. Z tego powodu Kościuszko na pomniku łódzkim jest żydem, Mickiewicz na pomniku wileńskim — żydem. A przecież to najwyższe i najczystsze objawienia ducha polskiego. I oto na ich pomnikach kamiennych — siedzą żydzi. Przyszłość, mamy nadzieję, że niedaleka, zburzy takie pomniki. Ale na teraz są one symbolem zgnilizny duchowej tych sfer polskich, ktore o tem decydują.

TŁOK KOŁO MICKIEWICZA

BARDZO INTERESUJĄCA DYSKUSJA wywiązała się na temat mniemanego otrucia Mickiewicza od chwili, gdy „Myśl Narodowa“ skierowała pocisk „Wiadomości literackich“ w stronę żydów. Przytem zgóry w tem miejscu przypominamy, jak było. „Myśl Narodowa“ stanęła na gruncie hypotezy tego pisma o otruciu i tylko zreflektowała jego pisarza, że zbyt śmiało rzuca podejrzenia w stronę Polaków, specjalnie w stronę Zamoyskiego. Skoro terenem zawikłania dramatycznego miała być wedle „Wiad. liter.“ sprawa polsko-żydowska (Legjon żydowski), a brak dowodów co do sprawcy, to nie trzeba w śledzwie pomijać współczynnika żydowskiego. Wywód logiczny zwracać się zdaje podejrzenia raczej w stronę żydów. Nic więcej. Niema w tem nic „szatańsko-perfidnego“.

„Nowy Dziennik“ (organ żydowski w Krakowie) z wrzaskiem oświadcza, że takie stanowisko „przechodzi wszelkie granice i wszelkie wyobrażenia“. Być może, ale granice i wyobrażenia narzucone światu przez żydów: nie wolno dotykać żydów. Oni mogą wdawać się w sprawy polskie, oskarżać i obrażać Polaków. Oto jak „Nowy Dziennik“, użalając się, sprawę przedstawia:

„Boy-Żeleński postawił na marginesie znanej publikacji d-ra Brandstaettera oraz relacji płk. Bednarczyka o zgonie Mickiewicza hipotezę, iż Mickiewicz został w związku ze swoją akcją około legjonu żydowskiego — otruty. *Były pewne sfery wśród emigracji polskiej*, które zaangażowanie się Mickiewicza około stworzenia legjonu żydowskiego uważały za skandal ze stanowiska polskiego *i z ramienia tych to sfer mogło nastąpić otrucie* Mickiewicza. Ta hipoteza wywołała istny popłoch w prasie polskiej“...

A więc — według publicysty żydowskiego — „z ramienia (?) sfer polskich *mogło* nastąpić otrucie...“ Jakich sfer? Żydom wolno taką tezę postawić i potem utrzeć ją na pewnik. Gdy im w tej robocie ktoś przeszkodzi, wtedy krzyk: antysemici nie pozwalają nam się bawić historją Polski! — to przechodzi wszelkie granice i wyobrażenia! Ten krzyk ma zagłuszyć wszelkie fakty i argumenty. O tem „ramieniu“ trzeba pomówić jednak. Kto mógł wykonać rzecz — Levy czy nie Levy — to mniejsza, ale to „ramię“, jeśli już idzie o logikę dziejową, trzeba wyargumentować. Nasz argument jest taki:

Co Polakom wadził oddział żydowski w armji tureckiej pod dowództwem oficerów polskich, oddział, mający się bić o wolność Polaków, co wadzić mógł do tego stopnia, aby mordować mieli Mickiewicza za to, że tę ideę popierał — na to „Nowy Dziennik“ nie odpowie. Ale niech odpowie na pytanie inne: Jak się czuli Rotszyld i bankier Camondo, sprowokowani do tej imprezy przez Mickiewicza? Bankierzy, wzięci między młot i kowadło, między Turcję i Rosję? Czy im łatwo wytłumaczyć się było przed Turcją, że budzą nacjonalizm żydowsko-palestyński? Czy z drugiej strony nie mogli się przerazić na myśl, na co narażają swych współwyznawców w Rosji, prowadząc przeciw niej huzarów żydowskich? Dlaczegóż zresztą z chwilą śmierci Mickiewicza sprawa owego oddziału zamarła? Przecież żyli jej protektorzy i bankierzy...

Istotnie — to przechodzi wszelkie wyobrażenie... Ale „Nowy Dziennik“ ma codzień nowy kłopot. Bo oto „Kurjer Codzienny“ przedrukował anegdotę M. Czajkowskiego o śmierci Mickiewicza:

„Kozak Służalski sporządził mu (Mickiewiczowi) kaczkę duszoną i wysadzaną z kwaszoną kapustą, potrawę — jak mówił — kozacką, potrawę sybirską Jermaka. Moszko Horrenstein, huzar izraelicki, Izraelita z Murowanej Machnówki, będący przy Adamie Mickiewiczu, na tę biesiadę higjeniczną przyniósł pierników Berdyczowskich i butelkę miodu Chodorowskiego. Po biesiadzie nastąpił atak piorunujący cholery. Wydał (scil. Mickiewicz) wśród bólów rozkazy Bednarczykowi, Horrensteinowi — wypowiadając ostatnią wolę Służalskiemu“.

Tak opowiadał Czajkowski. Ale najgorszy jest przypisek dziennika, który to opowiadanie cytuje. Mianowicie dopisano, do tego wskazując palcem znowu żyda:

„Niewątpliwie powyżej cytowany dokument posiada wielkie znaczenie, wprowadzając zarazem do najbliższego otoczenia Mickiewicza nową postać — owego Moszka Horrensteina — dotychczas nigdzie niewymienionego“.

„Nowy Dziennik“ lamentuje z powodu tej „świadomej czy nieświadomej aluzji“: „I będzie już szerzyć się nowe podejrzenie: Moszko Horrenstein“. Tymczasem według p. Brandstaettera polonisty, który to wszystko pisze, „Horrenstein był dobrym żydem, posiadał duże poczucie narodowe, krystalicznie czysty charakter i odznaczał się wielką odwagą“. Po co on nosił te pierniki!

Na zakończenie musimy się zwierzyć, iż pragnęliśmy sprawdzić pewne rzeczy w związku z owym oddziałem żydowskim w archiwum Bibl. Czartoryskich, z którego korzystał p. Brandstaetter. Aliści poinformowano nas, że akta „Wschód“, tej sprawy tyczące, wypożyczył od dłuższego czasu prof. Handelsmann z Warszawy i niewiadomo, kiedy je zwróci.

Taki tłok koło Mickiewicza!...

Z. W.

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W miesięczniku „Awangardzie“, wychodzącym w Poznaniu znany zaszczytnie publicysta pos. Ryszard *Piestrzyński* ogłosił artykuł p. t. „Nasze stanowisko wobec Kresów“ z powodu świeżo wydanej nakładem Tow. „Patria“ książki *Jędrzeja Giertycha* „O program polityki kresowej“. „Awangarda“ jest organem Obozu Wielkiej Polski, tam więc autor adresuje swoje o książce uwagi:

„Książka Jędrzeja Giertycha — pisze autor — „O program polityki kresowej“ winna znaleźć się w rękach każdego członka Obozu Wielkiej Polski, interesującego się szerzej zagadnieniami politycznemi. Autor dobrze jest znany Młodym. Z pod jego pióra wyszła przecież rozprawa „My, nowe pokolenie“, która zdobyła sobie powszechne uznanie. Giertych należy właśnie do tego „nowego pokolenia“, które zorganizowało się w Obozie Wielkiej Polski... Znaczenie książki jest tego rodzaju, że nie może ujść uwagi nikogo“.

Autor, stając na gruncie polityki państwa narodowego, nakreślił program asymilacji kresów w sposób godny męża stanu. Program ten — przyjdzie rychło ten czas — będzie podstawą polityki polskiej. Dlatego wszyscy powinni zapoznać się z tą książką. Dla informacji dodajemy, że cena 4.50 zł. uprzystępnia ją wszystkim.

*

Prócz „Nieznanego kraju“ (wyd. Rój) ogłosiła Zofja Kossak-Szczucka niedawnym czasem dwie książki, obie dla młodzieży. Pierwsza z nich, nosząca tytuł „Ku swoim“ (nakł. św. Wojciecha), wiąże się tłem i tematem z „Pożogą“. Powróciła w niej bowiem autorka na rodzinne swe Kresy — na tę ich połać, która została odcięta od Polski bolszewickim kordonem. We wsi, przefasonowanej a raczej polakierowanej na modłę komunistyczną, żyje rodzina polska, była dziedziczka, wdowa, wraz z dziećmi, które już ledwie pamiętają dawne czasy. Młodsze z nich bawią się czasami na szczątkach dwo-

ru, zburzonego podczas rewolucji, nie przejmując się tem, co się tu stało niegdyś; towarzyszem ich zabaw jest przecie syn wójta, który był sprawcą śmierci ich ojca. Najstarszy syn, Włodek, który coś niecoś jeszcze pamięta, ulega jednakże wpływowi komsomolców; z ich namowy podjęta wyprawa do cerkwi, po świeczki, ofiarowane tam przez wierzącą jeszcze ludność, staje się punktem zwrotnym w duszy młodego bradiagi; budzi się w nim — sumienie. Od punktu tego idzie dalszy przełom — przynoszący uświadomienie patrjotyczne i narodowe; w końcu przychodzi chwila, w której mała gromadka rodzinna (jak niegdyś sama autorka „Pożogi" ze swą rodziną) rozpoczyna pielgrzymkę do kraju, pełną niebezpieczeństw i przygód, uwieńczoną jednak pomyślnem przebyciem kordonu. Powieść cała, choć pisana szkicowo i jakby pośpiesznie, ma bardzo wiele momentów silnych i sytuacyj oryginalnych; ciekawe są obrazki z życia sowieckiego („ogonki" przed składnicami), żywe są niektóre postacie (stara służąca, inteligent przemieniony w jaskiniowca etc).

O granicę sowiecką ociera się w pewnym momencie akcja powieści „Topsy i Lupus" (Wyd. Polskie w Poznaniu), również przeznaczonej dla młodzieży. Tytułowymi bohaterami są tu dwa psy, z których jeden, wilczur, reprezentuje prosty chłopski rozsądek, drugi zaś, francuski półbuldog, dzięki wrodzonej inteligencji oraz specjalnej „edukacji" staje się „psem uczonym", umiejącym odczytywać znaki i odpowiadać na stawiane pytania. Niestety ta mądrość nie przynosi mu szczęścia. Chłopak wiejski, Francek, zbadawszy jego użyteczność, zabiera go z sobą, by go sprzedać do wędrownego cyrku. Tu „profesor Sapientissimus" — bo takie jest nowe miano Topsego — staje się największą atrakcją wszystkich przedstawień; sława stąd płynąca nie daje mu jednakże szczęścia, bo mu się wciąż po nocach śni dom rodzinny, z którego go zabrano. Kiedy biedny buldog zżyma się i buntuje przeciwko cyrkowej niewoli, plagi i głodówka zmuszają go do uległości; odpowiedzi, których od niego żąda publiczność, stają się z konieczności — kłamstwem. Długoby trwała ta udręka, gdyby sumienie nie ruszyło Francka, który okólną drogą nadesłał wiadomość o miejscu pobytu Topsego. Chłopcy, właściciele Topsego, wybierają się wraz z Lupusem na poszukiwania. W ciągu podróży swojej, czyli raczej pościgu, doznają mnóstwa przygód, które autorka umiała przedstawić zajmująco i barwnie, choć poprostu, bez częstej w podobnych wypadkach szarży. Po drodze raz giną chłopcom pieniądze, raz ubranie, ale zawsze wkońcu wszystko się znajduje, dzięki Franckowi, który chcąc nagrodzić swą winę, idzie niepostrzeżenie za chłopcami i opiekuje się nimi. Z humorem opowiedziana została przygoda z aktorami filmowymi, wziętymi za bandytów. Ostatecznie udaje się wpaść na trop zguby—a policja dokonywa reszty. Żywo tocząca się akcja, bystra charakterystyka osób (wśród nich najlepsza może kucharka cyrkowa, Michalina) sprawia, że nawet motywy dość już zużyte w powieściach (życie cyrkowe, banda cygańska etc,) pełne są blasku i świeżości. Przez całą powieść snuje się, jak srebrna nitka, nuta współczucia dla zwierząt i hasło humanitarnego obchodzenia się z niemi. (J. B.)

FILM

FILHARMONJA; „Frankenstein" wytw. Uniwersal.

Frankenstein należy do kategorji filmów „niesamowitych", zapisanych dobrze w pamięci widza. Już początek świadczy o ambicjach artystycznych reżysera i utrzymany jest w tonie utworów kameralnych, osiągając pożądany nastrój oszczędnem i rozumnem dobraniem efektów wizualnych. Djalogów niewiele, natomiast dużo scen w odpowiedniem dla filmu tempie, jak za dobrych czasów jego niemoty. Sama niesamowitość pojęta według właściwych, choć utartych tradycyj. Jedna ze scen ma posmak nowej i bardzo inteligentnej koncepcji. Mam na myśli zestawienie niesamowitości bohatera filmu, sztucznego człowieka, z tłem zupełnie innem w nastroju, sielankowem (on i dziewczynka nad brzegiem wody — zabawa) są to już chwyty znamionujące prawdziwą sztukę. Treść również niebanalna. Sztuczny człowiek, ale nie „robot", tylko jakby spreparowany i wskrzeszony — zapomocą elektryczności — przez uczonego, został przez pomyłkę obdarzony mózgiem zbrodniarza. Wynalazek dokonany niewątpliwie w celu ulepszenia życia, komplikuje je i sprowadza nieszczęście. Gdyby film był zdolny do uzmysławiania fantastycznych rozważań filozofa, mógłby to się stać odskocznią dla b. ciekawego scenarjusza.

Rolę sztucznego człowieka — potwora odtworzył Borys Karloff, nowy aktor charakterystyczny, nadzwyczaj inteligentnie, bez cienia szarży i grymasów, łatwo puszczanych w ruch przy podobnej okazji. Zwłaszcza gra rąk zasługuje na uwagę.

Film posiada drobne usterki — nielogiczności scenarjusza (np.: obława na człowieka — potwora, a nikt nie wziął ze sobą broni) i zakończenie, w natężeniu kompozycyjnem nie utrzymane.

Strona dźwiękowa niewyzyskana. KANDYD

TEATR

KOMEDJA VERNEUIL'A

NIEMA chyba bardziej naiwnego tematu komedjowego jak sztuka zdobywania kobiety—i wdzięczniejszego. W komedji L. Verneuil'a „Jak się zdobywa kobietę" widzimy tę tylko odmianę w sposobach zdobywania w porównaniu z czasami Szekspira, Moliera czy Fredry, że amant, aby zaimponować kobiecie, udaje włamywacza bandytę. Postawa rycerska i zawód rycerski zawsze imponowały kobietom, a rycerzami naszych czasów (w znaczeniu amerykańskiem) są bandyci. Gdy się pokazało, że bohater nie jest bandytą, lecz przebranym powieściopisarzem, dama (mieszczanka) zawahała się, zaczęła żałować, że zaangażowała serce tak niewłaściwie.

Komedja błahej treści, ale wesoła i dobrze zrobiona, nawet zasługuje na uwagę kolegów komedjopisarzy, jako wzór, że można pisać farsy szarżowane, a jednak nie poniewierać godności ludzkiej i wszędzie ukazać człowieka.

Zespół artystów był bardzo dobry; pp. Leszczyński, Fertner, Grabowski, Rapacki, Pancewiczowa, Sulima.

W.

NOWE KSIĄŻKI

Łubieński Henryk Ignacy. Droga na wschód Rzymu. Warszawa. 1932 S. 131

Łubieńska Anna. Moje wspomnienia z plebiscytu na Warmji. Z przedmową Artura Górskiego, Warszawa, 1932 S. 79.

Chrzanowski Ignacy. Około wychowania narodowego. Trzy odczyty. Warszawa, 1932. Dom książki pol. S. 72.

Lilly W. S. Dobro i zło. Przekład St. Honesti. Poznań, 1932. Św. Wojciech. S. 88.

Helsztyński Stan. Gniazdo orła. (Poezje). Ze zbioru „Nad Wartą, Notecią i Odrą". Wrzesnja 1952. Bibl. „Wici Wielkop." T. I.

Kolbuszewski Stan. Mickiewicz i Maryla a IV część „Dziadów". Poznań 1932. J. Dippel. S. 20.

Stahl Zdzisław. Wobec zagadnień gospodarczych. Odbitka z „Myśli Narodowej" 5.36.

La Silesie polonaise. Conferances... Préface de mr. A. Millerand. Notes par C. Smogorzewski. Paris 1932. Gebethner *et* Wolff. Str. 469, 14 map, 12 rycin.

Dantzig et quelques aspects du probleme germano-polonais par: Strasburger, Smogorzewski, Hoetsch *etc.* Paris (1932). *Publications de la conciliation intern.* S. 317.

Makarewicz Juljusz. Kodeks karny z komentarzem. Lwów 1932. Zakład Nar. im. Ossolińskich. S. 361.

Bronowski Witold. Konflikt zbrojny Chin i Japonji. Studjum z zakresu polityki zagranicznej. Warsz. 1932. Kusar. „Wschód". S. 25, 2-szp. in. 4-o i mapa.

Index translationum. Nr. 1. *Juillet* 1932. *Paris. Institut intern. de cooper. intellectuelle.*

Weyssenhoff Józef. Soból i panna. Powieść. Poznań. Wydawnictwo Polskie. R. Wegner.

Przewóska M. Cz. (Helja) *Sursum corda.* Poezje. Warsz. Dom Ks. Pol. Z portretem.

Życzyński Henryk prof. un. lubelskiego. Dziady drezdeńskie Mickiewicza. W setną rocznicę. Lublin 1932. Tow. Przyj. Nauk. Str. 64.

Przegląd Współczesny. Kraków. Sierpień 1932.

Łakomy Ludwik dr. Słonko jasne. Rapsod powstańczy. Będzin 1932. Druk. nakł.

Tenże. Na dziewiątej pochylni. Opowieść z podziemi z 2 fot. katastrofy. Dąbrowa Górn. 1932. Księg. Wojskowa w Warszawie.

Tenże. Zagadnienia przyszłej wojny. Katowice 1932, S. 15.

Tenże. Prace polskich techników i ekonomistów nad zjednoczeniem G. Śląska z Rzplitą. Katowice 1932. S. 25.

Tenże. Najsławniejsza i najskromniejsza kobieta świata. Katowice 1932. (O Curie Skłodowskiej). Str. 18.

OFENSYWA

DISRAELIZM

DROBNA rzecz, ale jakaż charakterystyczna!... Louise Maria Mayer i Arthur Rundt napisali sobie biograficzno-teatralny kicz o „Disraelim“. Tego gatunku literackie „*Schundware*“ bywa teraz ogromnie w modzie, byle podlane mocno cebulkowym sosem. Zeszłego sezonu zapychały repertuar scen niemieckich dwie takie tandety: „*Dreyfuss*“ i „*Haus Rotschild*“. W miastach europejskich już tylko izra-Elita ma mamonę, uczęszcza do teatrów i tylko ona decyduje o repertuarze. Sztuka o „Disraelim“ szła w wiedeńskim „*Burgtheater*“, a na obecny sezon zapowiedziana jest w Pradze, Budapeszcie, Sztokholmie, Amsterdamie, Nowym Yorku (Teatr Morosowa). Będą grali i gdzieindziej, a prawdopodobnie dotrze i do nas (Ateneum?).

Było całkowicie do przewidzenia, że z taką sztuką wnet wyjadą. Monografja o „*Dizzy*'m“ w stylu modnego romansu biograficznego już jest, i to nie bylejakiego pióra, bo André Maurois (Schlesinger?). Że atoli trzy czy cztery lata temu dostarczona, więc cokolwiek przestarzała. A tu trzeba kuć żelazo póki gorące i właśnie z takim atutem wystąpić. Materjału gotowego, źródłowego moc wielka. Pomijając już Brandesa i Aronsztajna, angielskie prace historyczne Hitchmana, J. A. Froude'a, Bryce'a, Maynella, G. W. Russela, no i Morley'a „Życie Gladstone'a“. Sklecić to widowisko dało się łatwo, tembardziej, gdy się wzięło do tego dwoje: panna Mayer i pan Artur. Sądząc z kilku recenzyj, kicz to arogancki i skroś szachrajski. „*Dizzy*“ sprezentowany jako „genjusz zapoznany“, kochający Anglję ponad życie, a otoczenie angielskie, aryjskie, dworskie, parlamentarne, to tępaki, snoby, mikrocefale, egoisty, źli patrjoci.

Pytanie teraz, dlaczego wysuwają na front sceny europejskiej model: d'Izrael i na ten sezon? Dlaczego Disraeli naznaczony na tę figurę sceniczną, którą będzie musiała oglądać i oklaskiwać publiczność kilkunastu, a może kilkudziesięciu miast i stolic europejskich i o której będzie pisało duże fejletony kilkuset referentów i recenzentów teatralnych? Oto dlatego, że Disraeli ucieleśnia w sobie i symbolizuje najpełniej pansemickie sny o potędze, marzenia imperjalistyczne, bezwzględne dążenia „rasy królów i proroków“ do zapanowania nad całym światem.

Dziesięć lat temu największym atutem światowym był Bronstein - Trocki. Od czasu jego plajty i katastrofy świat poszedł w odwrotnym kierunku, ku prawej stronie. I można teraz często czytać w burżuazyjnej żydowskiej prasie odżegnywania się od Marxa, Lassalle'a, Kautskyego, a wysuwania na front ideologa junkierskiego konserwatyzmu pruskiego, Fr. Stahla oraz przedewszystkiem „lorda Beaconsfielda“. Co to ma oznaczać? Oto patrzcież ludy i narody, jak ta Wielka Brytanja dobrze wyszła na tem, że nie zawahała się żydowi oddać steru swoich politycznych interesów.

Disraelego kilka lat temu przypomniał Francuzom Maurois (Schlesinger?), kusząc i suggerując im mefistofelicznie, że już i Francji potrzeba szefa, komendanta, *commamding-mana*, człowieka bezwzględnie rozkazodawczego, despoty, dyktatora. Ale ten dyktator, to musi być drugi Gambetta... w każdym razie z narodu wybranego... może Blum... może Basch a może... Lecache? I na wzór postawił Maurois w pełnem świetle *monumentum* „Kędzierzawego Cezara“.

Tymczasem atoli Disraelego dzsiaj znamy już „od a do z e t“, od czuba do pięty. Prześwietlony badaniami źródłowemi, jak promieniami Roentgena. Kiedy o nim pisał bombastyczną pochwałę pansemita Brandes w kilka lat po śmierci (1881), nad Disraelim jeszcze unosiła się świetlana aureola wielkiego męża stanu, twórcy „*empire*“, najgenialniejszego dyplomaty z kongresu berlińskiego (1878), wielkiego powieściopisarza, wielkiego artysty *(sic)*, nawet myśliciela! W rocznicę jego śmierci cokół pomnika, wystawionego w Westnimsterze, wdzięczna za wyratowanie arystokracja pokrywała ulubionym jego kwiatem: pierwiosnkami *(Primrose-Day)*. W miarę atoli — jak ukazywały się co rok pamiętniki z jego czasów, z całej ery od r. 1831 (rok pobytu w Palestynie!), poczem monografje historyczne jego współcześników z surowemi sądami o Disraelim, bronz zaczął z pomnika odpadać dużemi kawałami. Przypomniano sobie i Thackeraya satyrę nu niego („*Codlingsby*“), gdzie autor powieści „*Conningsby*“ występuje pod nazwiskiem Rafaela Mendoza. Wyszła na jaw cała problematyczność jego „wielkości“, jego szarlatańslwo, karjerowiczostwo, perfidja, kłamliwość, oszustwo, podstępność, jego podlizywanie się potężnym, a deptanie upadłych, jego niecny stosunek do lorda Bentwicka, który go „odkrył“, do Peela, do Gladstone'a. Wyszło na jaw całe jego aktorstwo, obłuda, faryzeuszostwo, komedjanctwo. Wyświetlono jego podchlebczy stosunek do próżnej i otyłej jejmości, królowej Wiktorji i jego drapanie się w górę po szczeblach... kobiecych („*Endymion*“). Wywleczono jego brudne spekulacje i afery giełdowe (1875 Kanał Sueski, Rotszyldzi). W bożyszczu torysów i królu dandysów, w wirtuozie życia i w wyroczni salonów i pałaców dostrzeżono archisnoba, kombinatora, awanturnika i wreszcie zaciekłego, drapieżnego skroś antychrystowskiego, satanicznego żyda (babka chrześcijanka, ojciec antykwarz). Przypomniano sobie pogardę, jaką dla tej faworyzowanej przez cały naród wielkości żywił nieprzebłagany, nieprzejednany Carlyle. Przypomniano sobie ze wstydem, jak ten szarlatan i cynik ośmielił się traktować naród angielski: „moi przodkowie byli książętami Izraela wtedy, gdy rdzenni Brytańczycy jeszcze biegali z pośladkami na niebiesko malowanemi“.

Dzisiaj lord Beaconsfield pozostał „odbronzowiony“ już w zupełności. Oceniają go tak, jak go ocenił w swej satyrycznej biografji O'Connor. Nie szlachetny, bezinteresowny, romantyczny żyd Sidonia z „Conningsby“ a kłamliwy, arogancki, cyniczny i czelny megaloman Mendoza z „Codlingsby“ Thackeraya.

Polaków jako katolików (przeciw którym napisał powieść „*Lothair*“ 1870) nie cierpiał i jako poseł do Izby Gmin, i jako minister, i jako premjer. W r. 1848 w listopadzie, kiedy w parlamencie za Polakami ujął się zacny Hume, zerwał się ze swego miejsca wyelegantowany, w czerwonej, aksamitnej kamizeli, z nastroszoną, wypomadowaną fryzurą hiszpański żyd (*spanioli*) Disraeli i wygłosił namiętną mowę ku czci cara Mikołaja, lżąc przytem emigrację polską, co wywołało oburzenie i u liberałów i u części torysów. Pisał o tem wówczas „*Times*“.

Był właściwie także pierwszym syjonistą przed Herclem (powieść „Tankred“) i pierwszym pansemitą imperjalistą, twierdzącym, że żydom muszą przypaść rządy nad całą ludzkością. Udając patrjotę wielkobrytańskiego żywił tak do Anglików jak i do Aryjczyków wogóle nienawiść wprost infernalną, sataniczną, obsessjonalną.

Zobaczymy teraz niebawem, jak to jedną z najantypatyczniejszych postaci z gatunku „włamywaczy do historji“, sprezentowała nam na scenę firma Mayer - Rundt z Wiednia.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Kiedym przeczytał w kawiarni w d. 22 z. m. wywiad Iskry z p. prezesem *Fidac*'u a zarazem prezesem Banku Gospodarstwa Krajowego, gen. Romanem Góreckim, przyszła mi na myśl rozmowa ojca z chłopczykiem, który pytał o jagody:

— One są czerwone, bo są jeszcze zielone, a jak dojrzeją, będą niebieskie. Dlatego nazywają się czarne.

Dlaczego mi się to skojarzyło? No, bo p. prezes Górecki powiada:

— Członkowie *Fidac*'u są wojskowymi, dlatego tworzą teraz armję pacyfistów, a ja zostałem dlatego prezesem, że do *Fidac*'u mogą należeć tylko tacy wojskowi, którzy walczyli w armjach koalicji przeciwko Niemcom... Gdyby więc przyszło do wojny z Niemcami, to *Fidac*...

— Do *Fidac*'u należy 9 miljonów wojskowych — mówił dalej gen. Górecki. — Proszę sobie wyobrazić, co to za siła, gdy chodzi o propagandę pokoju.

— A nie będzie panu prezesowi przeszkadzać zajęcie w Banku? — pyta Iskra.

— Szczęśliwie nie ma teraz w Banku roboty...

— Bo mówiono, że prezes *Fidac*'u musi mieszkać w Paryżu...

— Będę dojeżdżał do biura. Cóż znaczy teraz taka odległość!

Polska zabiera się na serjo do roboty.

*

Z listu prywatnego:

„Chiałbym widzieć, jak wygląda Polak, który sporządził listę nazwisk dwudziestu kilku złodziei, karanych więzieniem i dał ją dziennikarzowi dla dołączenia do informacji o rozwiązaniu Obozu Wielkiej Polski, z dodaniem objaśnienia, że są to właśnie młodzieńcy z tego Obozu. Taką listę widziałem w „Gazecie Polskiej“ obok rozporządzenia wojewody Kirtiklisa. A teraz czytam gdzieindziej wyjaśnienie, że w tej liście niema nikogo z Obozu. Chciałbym też widzieć tego dziennikarza.

Skąd się wzięli w Polsce ludzie tacy nikczemni i tacy głupi? Bo skoro motyw skasowania organizacji jest polityczny, to przecież fałszowanie motywu dodatkowego, kryminalnego świadczy o jakiejś obawie, że tamten motyw nie będzie dość wiarogodnym dla publiczności.

To samo dzieje się teraz i w literaturze. Pierwiastek subjektywny w powieści kryminalnej polega na tem, że autor nie wyobraża sobie, aby inne życie, jakieś czyste i bohaterskie, mogło być przez czytelników zrozumiane“.

Czas
odnowić prenumeratę
na
„MYŚL NARODOWĄ“
kwartał IV

Cena półrocznie 17 zł., kwartalnie 9 zł.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 3105

KRAWIEC DAMSKI
F. MARYAŃSKI



Wilcza 5, m. 3.
Tel. 9.64-05

NAKŁADEM TOW. WYDAWN. „PATRIA"
UKAZAŁA SIĘ KSIĄŻKA:

JĘDRZEJ GIERTYCH

O PROGRAM POLITYKI KRESOWEJ

Z PRZEDMOWĄ AL. DĘBSKIEGO
B. WOJEWODY WOŁYŃSKIEGO.

(Cena zł. 4.50)

Skład główny w Domu Książki Polskiej
Do nabycia we wszystkich księgarniach

OSTATNIE PRACE LITERACKIE
ZYGMUNTA
WASILEWSKIEGO

Mickiewicz i Słowacki (Gebethner i Wolff) . 3.—
Seweryn Goszczyński (Św. Wojciech) . . . 2.—
Z życia poety romantycznego („Myśl Nar.“) 1.20
Proces Lednickiego („Gaz. Warsz.“) . . . 5.—
Jan Kasprowicz (Gebethner i Wolff). . . . 4.—
O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej („Myśl Narod.“) . . . . . . 2.—
Współcześni (Gebethner i Wolff) . . . . . 6.—
Dyskusje (Św. Wojciech) . . . . 5.—
Wspomnienia o Kasprowiczu i Żeromskim (Gebethner i Wolff) . . . . . . 4.—
Poeci i teatr (Gebethner i Wolff) 7.50
Pieśń w górach („Patria“, Dom Ks. P.) . . . 5.—
Wnukom o prapradziadku (Gebethner i Wolff) 4.—

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.